

W numerze: TERESA WOJCIECHOWSKA *Reforma szkolna i program* ● KAROL BADZIAK *Samobójstwo na Krupówkach* ● RYSZARD BINKOWSKI *Od ludzi odchodzisz, od domu* ● Wiosenny konkurs – „Wszystko o książce” ● Zewsząd o wszystkim ● Nowela

odgłosy



20 (756)
14. V. 1972 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Zdrowie - wizja przyszłości

Dowiedziałem się przed dwoma laty od Antka Szrama, że moje biedne, brzydkie, przeklinane w całym kraju miasto (panie, jak można wytrzymać w tej Łodzi?!) posiada skądinąd największy w Europie – albo nawet na świecie – kompleks architektury secesyjnej.

Teraz znowu niektórzy zaczynają mi wmawiać, że Łódź jest jedynym miastem starego kontynentu, które w swoich wielkich granicach: pośród torów tramwajowych, zabudowań fabrycznych i wyrosłych na rubieżach nowych dzielnic – ma dwa tak potężne, rozległe i stare rezerwaty przyrody, jak Łagiewniki i Zdrowie, gdzie za porzecznią, drucianą siatką chwieją się na wietrze resztki pamiętającej czasy Piastów Puszczy Łódzkiej.

Jeśli chodzi o secesję, już dziś wiadomo, że śródmiejski skansen ostoi się jakoś planom dynamicznej modernizacji. Zresztą trzeba przyznać, że po raz pierwszy w swojej powojennej historii Łódzkie centrum zaczęło w sposób oczywisty, namacalny zmieniać oblicze. Kiedyś o tych zmianach tylko się pięknie mówiło na długich posiedzeniach rady narodowej i jeszcze pięknie pisało w optymistycznych sprawozdaniach prasowych, natomiast tak zwany przeciętny obywatel (nowe szaty króla) mimo najszczęśliwszych wysiłków woli nie był w stanie nic nowego zobaczyć. Dziś nie trzeba sięgać do sprawozdań, aby zarejestrować szybko następującą metamorfozę. Od razu widać, że odpowiednie, z natury i z tradycji gnuśne przedsiębiorstwa dostały tegiego kopsa. Błyskawicznie (a może było to jedynie uczciwe, normalne tempo robót?) przeorano z krańców po krańce Zachodnią, uporządkowano niektóre punkty na Piotrkowskiej i na Głównej, zmieniono do niepoznania okolice Dworca Fabrycznego, choć on sam jest jeszcze ciągle niebezpiecznie rozbabrany. Miasto podskoczyło, nabrało oddechu. Tu i ówdzie powstały wieżowce, nowe przejścia, place – wszystko to, co rozluźnia: różnicuje i ozdabia zwarty dotychczas, ciasny maszyn czyszowej zabudowy, która zresztą, jako się rzekło, w swoich najwartościowszych, prawdziwie zabytkowych partiach nie poniesie żadnego uszczerbku – wprost przeciwnie: mówi się przecież o renowacji i pielęgnacji starych kamienic, dających świadectwo historii.

No, dobrze, a co będzie ze Zdrowiem?

Parę miesięcy temu wybuchła bomba. Podobno cała sprawa narodziła się w umysłach działaczy Frontu Jedności Narodu i po akceptacji władz miasta natychmiast została podchwyciona przez „Głos Robotniczy”.

Śródmieście – śródmieściem... Nie oglądając się na sprawiedliwość, choć z tak wielkim opóźnieniem, przyznane nam przez centralę pieniądze, których zresztą – jak to się innym, zawistnym miastom wydaje – nie jest znowu w stosunku do rzeczywistych naszych potrzeb wcale tak dużo (Nie bójcie się! Przerobimy, przerobimy...) postanowiono przystąpić w Łodzi do budowy w czynie społecznym największej lokalnej inwestycji wszechczasów (przyznać trzeba, że brzmi to patetycznie), a więc zakrojonego na europejską skalę... CENTRALNEGO PARKU KULTURY I WYPOCZYNKU, który najpierw nam, a później, przez setki lat, służyć będzie pokoleniom...

Kosztów tej gigantycznej, jakże potrzebnej inwestycji przewidzieć w tej chwili nie sposób. Wiadomo, że budowa będzie trwała około dziesięciu lat i że złoży się na nią bezpłatna, dobrowolna praca ludzi, którym w zakresie surowca i maszyn udzieli pomocy – równo pięćdziesiąt procent wszystkich kosztów – władza miejska, która będzie także nadzorować, synchronizować zbiorowe wysiłki.

FOT. ANTONIN BLAHA

Dalszy ciąg na str. 3

SZKICE O POEZJI ROSYJSKIEJ

TEATR CUDÓW

Książki z „piwowskiej” serii „Biblioteka Krytyki Współczesnej” nie są z natury rzeczy przeznaczona dla masowego czytelnika. Zrozumiałe, że tylko znikomą część tych, których interesuje literatura, interesuje również krytyka literacka. Stąd niewielkie, parotysięczne nakłady książek tej serii. „Szkiice o poezji rosyjskiej” Włodzimierza Orłowa są jednak wyjątkiem. Łączą w sobie krytyczną analizę i aparat naukowy z lekkością i potocznością stylu, są gawędami po trosze i małą antologią poezji. Są znakomitym „czytadłem”, nie nie tracąc z walorów krytycznej i naukowej powagi.

Włodzimierz Orłow, wybitny radziecki krytyk i wydawca, omawia ów słynny „srebrny wiek” literatury rosyjskiej, czasy przełomu wieku XIX i XX, okres przemian społecznych i intelektualnego fermentu.

W tych latach rodziły się i rozwijały talenty poetyckie tej miary, co Cwietajewa, Blok, Mandelsztam, Bieliy — a także mnielej u nas znani Gumilow, Klujew, Wołoszyn. Najpiękniejszy i najpełniejszy jest chyba esej o Cwietajewej, zasytułowany „Los, charakter, poezja”. To słowo „los” określa szeroki wymiar i innych dzieł. To nie są suche analizy strof, to także gorzkie nierzapowiedzi o życiu i śmierci poetów „srebrnego wieku”. Cwietajewa popelnia samobójstwo (jak Majakowski, jak Jesenin), Gumilow, Mandelsztam, Wołoszyn umierają w zapomnieniu, odsunięci od literatury. Ale ich twórczość odżyła po latach i dziś radziecki krytyk oddaje tę piękną książkę hold trudnym losom ich poezji.

Włodzimierz Orłow „SZKICE O POEZJI ROSYJSKIEJ”, PIW, 1972, cena 35 zł.

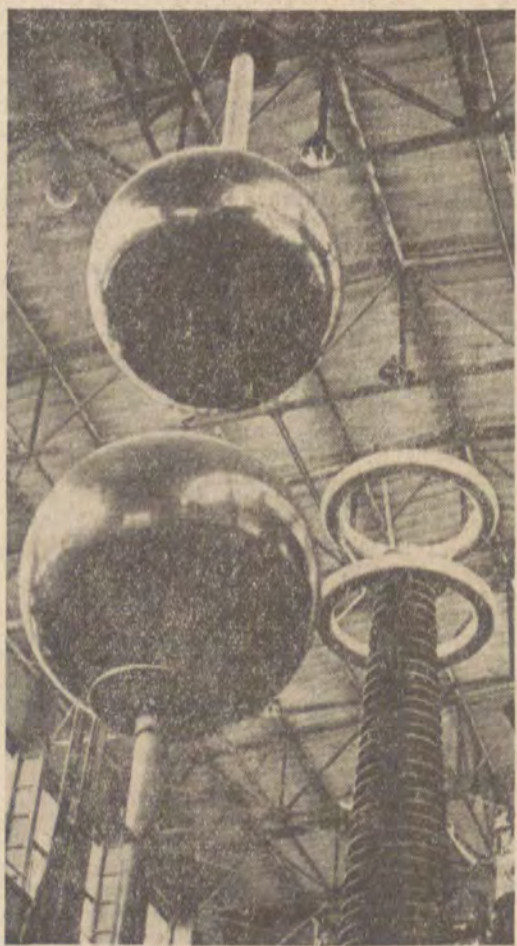
„Curriculum vitae” nazywała się wydana przed paroma laty księga wspomnień Jana Marcina Szancera — artysty tak dobrze znanego ze swej bajkowej, barwnej kreski. Opowiadał w tych wspomnieniach o latach minionych, o początkach swego terminowania w Sztuce, o ciekawych ludziach i zdarzeniach. „Curriculum vitae” jest oczywiście dziś pozycją całkowicie wyczerpaną.

Ukazał się natomiast drugi niejako tom wspomnień Szancera, zatytułowany „Teatr cudów”. Autor kontynuuje w nim gawędę o Sztuce, życiu i sobie samym. Opowiada o początkach odbudowy życia kulturalnego po wojnie, o pierwszych krokach polskiej telewizji, o swej miłości do książek, których tyle zilustrował, o pracy w filmie i teatrze. Słowem — pisze o swoim życiu w Sztuce — o sukcesach, kłopotach, zarówno na polu twórczym, jak i w życiu osobistym.

„Teatr cudów” otwiera rozdział „Na początku była Łódź”. Już tylko dla tych kilkudziesięciu pierwszych stron tekstu warto kupić tę książkę. Ież tu bezcennych informacji o pierwszych „tustych” latach miasta, ile anegdot, nierzaprzeraźliwie złośliwych. Niektóre postacie opisane przez Szancera przetrwały w łódzkiej legendzie i rzeczywistości w nieco innym kształcie, niż nam rysuje pamiętnikarz... Ale to już do rzeczy nie należy. Szancer pisze z pozycji lat 1945. W każdym razie dla łódzian, którzy „lata pierwsze” pamiętają, lub o nich dość dokładnie słyszeli — Książka Szancera jest nowa, niebanalna pozycja na półce z „łódzianami”.

J. M. Szancer „TEATR CUDÓW”, Czytelnik 1972, cena 20 zł.

J. W.



Zewsząd o wszystkim

Północny Wietnam w „gotowości nr1”

„FRANCE PRESSE” — PARYŻ

Północny Wietnam znajduje się w stanie „gotowości nr 1”. Oczekując na nowy amerykański atak powietrzny na stolicę, prowadzi się przygotowania do ewakuacji z Hanoi starców i dzieci.

„Gotowość nr 1” oznacza, że wszyscy mają broń pod ręką, a oddziały robotników, pospolitego ruszenia i wojska znajdują się w pobliżu dział przeciwlotniczych i wyrzutni rakiet.

Niebezpieczeństwo nowych nalołów wzrosło od momentu, gdy niebo nad stolicą, po raz pierwszy od kilku miesięcy, stało się bezchmurne. Zaczęło się rozjaśniać rankiem, 16 kwietnia, po kilkumiesięcznej deszczowej zimie i niskim pułapie chmur. Wykorzystując tę piękną pogodę samoloty amerykańskiego lotnictwa taktycznego dokonały nalołów na Hanoi i Hajfong, siejąc ogromne spustoszenia w dzielnicach mieszkaniowych i wśród obiektów użyteczności publicznej, o czym zagraniczni dziennikarze mogli się przekonać na własne oczy.

Weźniej, z soboty na niedzielę, gdy amerykańskie samoloty siały śmierć i zniszczenie coraz dalej i dalej na północ, dziennikarze mó-

wili: „W niedzielę będziemy jedli podwieczorek w schronach”. Okazało się, że byli bardzo bliscy prawdy — naloł rozpoczął się podczas śniadania.

Władze północnowietnamskie spodziewały się napa-du i już kilka dni przed amerykańskim atakiem z powietrza dokładnie skontrolowały schrony przeciwlotnicze. W zakładach pracy przeprowadzono próbnę alarmy, pokrywę z cementu, którymi zamyka się indywidualne schrony przeciwlotnicze, wymieniono na nowe na wszystkich ulicach miasta. Po nalołce widziałem, jak żołnierze z oddziałów samoobrony wymieniali uszkodzone przykrywy betonowe w rejonie, gdzie znajdował się punkt korespondentów agencji France Presse.

Szkoły zamknięto, przede wszystkim podstawowe. Przenosi się je w bezpieczne miejsca, poza granice miasta. Ludzie są spokojni. Nie ma śladów paniki. Choć zabrzmi to paradoksalnie, ale amerykańskie bombardowania wywołują tutaj pozytywny skutek: ludność jeszcze bardziej zespała się i konsoliduje wokół partii komunistycznej.

Trudne problemy studentów w NRF

„SUEDEUTSCHE ZEITUNG” — MONACHIUM

W końcu września ubiegłego roku, na ulicach Frankfurtu nad Menem, odbyła się prawdziwa bitwa policji ze studentami. Demonstranci rzucali w policjantów doniczkami, butelkami i kamieniami. Policjanci bili wszystkich na prawo i lewo, kto tylko nawinął się pod rękę; zarówno uczestników demonstracji jak i przechodniów. Po wodem wystąpieniu była katastrofalna sytuacja mieszkaniowa studentów. Po bezowocnych poszukiwaniach dachu nad głową, studenci zajęli dom, ruderę nie zamieszkałą już od wielu miesięcy i zostali stamtąd wyrzuceni przez policję.

Zresztą Frankfurt nad Menem już od dawna przestał być jedynym miastem uniwersyteckim, w którym studenci samowolnie zajęli opuszczony budynek. Za przykładem młodzieży studiującej Frankfurtu, poszli studenci innych miast zachodniemieckich. I po raz pierwszy od wielu lat spotkali się z poparciem społeczeństwa. W bieżącym roku sytuacja mieszkaniowa młodzieży akademickiej jest tak ciężka, jak nigdy przedtem. W początkach zimowego semestru 1971/72 roku, kilka tysięcy młodych ludzi, przyjeżdżających na uniwersytety, znalazło się dosłownie na ulicy. W Bonn, było ich 600, w Kilonii i Tübingen — tyleż samo, w Marburgu i Heidelbergu — około tysiąca, we Frankfurcie nad Menem — 2 tysiące, spośród 18 tysięcy, w Münster bez dachu nad głową znalazło się 3 tysiące studentów.

Niektórym udało się jako tako urządzić w pierwszych tygodniach nauki. Innych przysparzył na parę tygodni znajomi, pozwalając im rozleść gdzieś w kącie pokoju nadmuchiwany materac. Ten i ów cudem znalazł miejsce w tanim hoteliku, gdzie zazwyczaj gnieździ się młodzież. Ale mnóstwo pozostało pod gołym niebem. Czego nie dokonał „numerus clausus” („norma procentowa”, ograniczająca liczbę przyjmo-

wanych na wyższe uczelnie w NRF), dokonała konieczność zyciowa: w Giessen, na przykład, 420 studentów, a we Frankfurcie nad Menem — 500, nie mogło rozpocząć studiów z tej prostej przyczyny, że nie mieli gdzie nocować.

Na studentckim „ryнку mieszkaniowym” wytworzyła się sytuacja wręcz katastrofalna. Zmienia się struktura wielkich miast. Centra miejskie zajmują teraz instytucje handlowe i banki, stare domy mieszkalne, w których zawsze znalazł się jakiś wolny pokój dla studenta, są burzone jeden po drugim. Ludzie osiedlani w tanich mieszkaniach, budowanych w ramach tzw. „socjalnego budownictwa mieszkaniowego”, nie mają wolnych miejsc dla sublokatorów. Nie chcą ich także właściciele małych domków jednorodzinnych na przedmieściach.

Przedstawiciele monachij-skiej biura samopomocy studentckiej twierdzą, że za kilka lat studenci w ogóle nie będą mogli dostać umebłowanych pokoi.

Katastrofalne zmniejszenie się liczby prywatnych pokoi do wynajęcia pozwala właścicielom mieszkań dyktować wygórowane warunki odnajmu. Rządzą tu teraz klasyczne prawa spekulacji. Wielu właścicieli starych domów czynszowych już dawno wpadło na pomysł, że optaca się im usunąć z tych ruder lokatorów, a poszatkowane na kłitki pokoje wynajmować studentom. Dochód z takich kombinacji jest duży. Cena 200 marek miesięcznie za pokój przestała być dziś rzadkością. Jeśli wziąć pod uwagę nieszczęśliwe położenie materialne studentów — stypendium państwowe otrzymuje zaledwie 20 procent — to locum za tak horrendalne ceny jest dla większości studentów po prostu niedostępne. Już tylko ten jeden fakt świadczy, iż szeroko propagowana „równość szans” w dziedzinie wykształcenia jest szansą wyłącznie dla ludzi zamoznych.

Jedynym wyjściem z tej złożonej sytuacji byłyby domy akademickie, jednakże ilość miejsc w akademikach w NRF daleko odbiega od realnych potrzeb.

Robi się starania, by zmienić tę trudną sytuację. W kosztach budowy domów akademickich partycypują uniwersytety, władze municipalne, kościół. Te wysiłki nie dają pożądaných wyników. Na przykład ogromne trudności wynikają przy znalezieniu terenów pod budowę. A jeśli nawet takie miejsce uda się znaleźć, to dalsze manipulacje blokuje wszechpotężna biurokracja. Większość studiujących

musi się urządzać, jak kto umie i może. Liczba studentów, mieszkających sto kilometrów od miejsca nauki i codziennie odbywających podróz na uniwersytet i z powrotem, jest dziś ogromna. W Tübingen studenci nocowali już nawet na ławkach w parku miejskim.

Oto dlaczego, co bardziej zdecydowani studenci zaczęli się łączyć w grupy i podejmować działania ofensywne. Wielu przedstawicieli władz państwowych zaczyna rozumieć, że ukształtował się pewien rodzaj „studentckiego proletariatu” i że nie da się on gnębić bezkarnie.

Dostawy radzieckiego gazu ziemnego do NRF

„NEW YORK TIMES” — NOWY JORK

Gdy Związek Radziecki i Niemcy Zachodnie parafowali już w Moskwie nowe porozumienie handlowe, konsorcjum banków zachodniemieckich na czele z Deutsche Bank podało do wiadomości, iż z Moskiewskim Bankiem Handlowym prowadzi się obecnie rozmowy, w sprawie kredytu na pokrycie znacznie większych dostaw radzieckiego gazu ziemnego do Zachodnich Niemiec.

Przedstawiciel firmy „Rhurgas” (Essen) powiedział, że Związek Radziecki potrzebuje dodatkowej ilości rur stalowych, żeby w dwójnasób zwiększyć dostawy gazu ziemnego do NRF do roku 1979. Dostawy gazu ziemnego do Niemiec Zachodnich powinny się rozpocząć 1 października 1973 roku. Przedstawiciel wiodącej zachodniemieckiej firmy „Mannesmann”, produkującej rury stalowe, powiedział w wywiadzie, iż rozmowy w sprawie sprzedaży Związkowi Radzieckiemu dodatkowych ilości rur stalowych wielkiej średnicy zbliżają się ku końcowi.

Kredyt z Deutsche Bank ma służyć sfinansowaniu budowy gazociągu, biegnącej przez Czechosłowację do Weidhaus, zachodniemieckiego miasta, leżącego na granicy z CSRS. Przed-

stawiciel tego banku wyraził opinię, iż pomyślnie sfinalizowanie nowej umowy zależy, być może, od wyników głosowania w bońskim parlamencie nad układami kanclerza Brandta z Związkiem Radzieckim i Polską.

Lider grupy wielkich zachodniemieckich przemysłowców, uczestniczących w handlu między Wschodem i Zachodem, Otto Wolf von Amerongen, wyraził optymistyczny pogląd o perspektywach rozszerzenia handlu ze Związkiem Radzieckim na bazie nowej umowy handlowej, zawartej między Bonn i Moskwą.

W związku z nową umową o handlu i współpracy, parafowaną w Moskwie, rodzą się znaczne możliwości wymiany handlowej i technicznej — powiedział Amerongen. Objęłyby ona niekóre dziedziny przemysłu metalurgicznego oraz procesy produkcji elektroenergetycznej. Amerongen powiedział też, że ma nadzieję na szerszą wymianę wizeryt uczonych NRF i ZSRR.

„Nie wiem jednak — powiedział Amerongen — czy to porozumienie handlowe nabierze rumieńców życia, jeżeli zachodniemiecki parlament nie ratyfikuje układów Bonn z Moskwą i Warszawą”.

Czyżby zmierzch auta osobowego?

„US NEWS AND WORLD REPORT” — WASZYNGTON

Czy nie nadszedł już czas na wprowadzenie ograniczeń w korzystaniu z własnych samochodów na dojazdy do pracy?

Takie pytanie zadali sobie niedawno amerykańscy specjaliści w zakresie planowania miejskiego ruchu kołowego i ochrony naturalnego środowiska człowieka. Problem ten jest o tyle ważny, że kolosalne korki w ruchu ulicznym paraliżują komunikację miejską. Obok tego duży niepokój władz wywołuje, coraz bardziej groźne dla ludzi, stężenie spalin w powietrzu.

Zainteresowanie władz tymi dwoma zmorami wielkich miast amerykańskich, wywołało popłoch wśród właścicieli fabryk samochodowych oraz właścicieli prywatnych dróg i użytkowników samochodów osobowych. Władze miejskie wielu miast USA podjęły już decyzję, zmierzając do ograniczenia ulicznego ruchu samochodowego.

W stolicy Stanów Zjednoczonych postanowiono wprowadzić w życie, do roku 1975, szereg zarządzeń, obowiązujących cały kraj. Obejmą one m. in.: zakaz parkowania samochodów w centralnych rejonach miasta; zakaz parkowania samochodów w miejscach nie zabudowanych, ale przeznaczonych pod zabudowę; podniesienie opłat za przechowywanie aut na parkingach i w garażach. Jak przypu-

szczają eksperci, zarządzenia te wpłyną na zmniejszenie liczby samochodów, dojeżdżających codziennie do stolicy USA, o 45 do 75 tysięcy!

Zamierzone środki administracyjne mają też na widoku i inny cel. Oto na przestrzeni ostatnich 27 lat transport miejski kurczył się z roku na rok. Bardzo wydawnie zmniejszyła się liczba przewożonych pasażerów i obniżyła się dochodowość. O ile w roku 1945 transport miejskim przewieziono 19 miliardów pasażerów, o tyle już w roku 1971 liczba ich spadła do około 6 miliardów osób.

W wielu miastach opracowuje się plany ruchu transportowego, w celu uzyskania optymalnie korzystnych rozwiązań dla komunikacji autobusowej i zapewnienia jej znacznie większej szybkości. Niektóre kompanie transportowe wprowadziły na swoich liniach autobusy ekspresowe, dowożące pasażerów do miejsca pracy. Waszyngtońska kompania komunikacji autobusowej dowozi do pracy mieszkańców Wirginii 250 autobusami ekspresowymi po pasie autostrady, specjalnie zbudowanym dla potrzeb tego typu maszyn.

W planach usprawnienia komunikacji miejskiej kładzie się duży nacisk na budowę nowych dróg, przeznaczonych wyłącznie dla autobusów ekspresowych.

Zdrowie — wizja przyszłości

Dalszy ciąg ze str. 1

Uwaga! Kości zostały rzucone!
Od wielu tygodni niezmurowany, prowadzący całą akcję „Głos Robotniczy” reklamuje wielkie przedsięwzięcie.
Była specjalna audycja w Telewizji.
W pierwszomajowym pochodzie zamieniono wizję Nowego Zdrowia w oblicze całego miasta.

Wieżę rozniósł się po całym kraju.
Dlaczego ja tak to wszystko punktuje? Żeby dolać oliwy do ognia. Żeby się przypadkiem coś nie zatrzymało, a byłoby wtedy wielki wstyd.

Nie jestem sceptykiem. Wierzę, może nawet bardziej niż inni, w powodzenie tych cudownych planów. Ale z drugiej strony trudno mi zapomnieć, że już nie po raz pierwszy mówi się w Łodzi o budowie Parku Kultury i Wypoczynku. Uznając trafność propozycji Frontu Jedności Narodu, nie potrafię przecież zapomnieć, że przed paroma laty w jednym z reportaży sam wysunąłem podobne propozycje, nawołując społeczeństwo do podjęcia prac społecznych na Zdrowiu. A przede mną — nie byłem wcale prekursorem! — kwestię tę podnosili niejednokrotnie inni, oddani miastu działacze.

Zamiar ten kiełkuje od dawna. Ale jeszcze nigdy nie miał tak wielkich szans realizacji, tak powszechnej aprobaty i znakomitego klimatu w aparacie miejskim.

W dziale miejskim „Głosu Robotniczego” jeszcze raz przejrzałem plik dokumentacji. Zawrót głowy. Sześćset hektarów soczystej zieleni, pośród której znajdują się między innymi:

Muzeum Sztuki Współczesnej
Pomnik Czynu Rewolucyjnego 1905 roku
Letni Teatr Estradowy
Zespoły basenów kąpielowych
Ogródki dziecięce

Zespół gastronomiczny: kawiarnie, bary i restauracje, bez których nie ma przecież prawdziwego wypoczynku.

Obserwatorium astronomiczne, które przynajmniej częściowo zbliży naród do wielkiej myśli Kopernika i zwiąże miasto z erą zdobywania Kosmosu.

Kilka potężnych boisk sportowych.

Wesołe miasteczko, które wedle zapewnienia Krystyny Sobierajskiej i jej szefa, Adama Lewaszkiewicza, nie będzie miało sobie równych w Europie (wysiadzie to budapeszteńskie i wiedeńskie).

Go-karty (już są plany: inwestor i wykonawca), która potrafiła przywrócić równowagę psychiczną nawet potencjalnym samobójcom;

Tereny wystaw i widowisk plenerowych, które rozładują trochę tłok w śródmiejskich salach i stworzą nowe perspektywy artystywu?...

Ośrodki wypoczynkowo-rekreacyjne dla ludzi w każdym wieku

Motel

Odpowiednio rozbudowane ZOO i



Ogród Botaniczny z Palmiarnią (alpinaria, kaskady).

Pomiędzy poszczególnymi obiektami, wzdłuż i w szerz parku kursować będzie krzeselkowa kolejka linowa, a w najbardziej nerwalgicznym, zatłoczonym punkcie przewidziano dwupoziomowe przejścia.

Pytam, czy nie ucierpi na tym zieleni.

— Skąd?! — mówi red. Sobierajska. — Nie pan jeden zdradza podobne obawy. Otrzymałmy od ludzi wiele podsygnowanych troską pytań o przyszłość środowiska naturalnego; mogłam z całym przekonaniem oświadczyć, że w myśl planów

podczas tej budowy nie padnie ani jedno drzewo.

— I nie będzie niepokojona Puszcza Łódzka?

— Absolutnie.

— Istnieje jednak niebezpieczeństwo, że przy takim natłoku przyroda zostanie okaleczona przez wandalów.

— Teraz to niebezpieczeństwo jest o wiele większe. Zdrowie jest przecież całkowicie zaniedbane. Nie tylko brak wody, ale i elektryczności.

— A ciemność — wtrąca red. Lewaszkiewicz — sprzyja przestępczości. — I niedawny reporter milicyjny, człowiek,

który zna na pamięć wszystkie ciekawe afery kryminalne tego miasta, rozwija przede mną swoją myśl:

— Po ósmej wieczorem Zdrowie było (i jest jeszcze) przytuliskiem dla bandziorów. Ktoś powiedział, że stanowi ono TAPCZAN ŁODZI. Z jednej strony, na polankach zakochane pary — z drugiej zawodowi krzakowi podglądacze: pijacy, zboczeńcy, złodzieje, potrafiący wykorzystać chwilę i buchnąć parce pograżonej w miłosnych zapasach nie tylko portfel, czy torebkę, lecz również całe ubranie. Niejednokrotnie dochodziło tu do krwawych rozbojów, kiedy to zawodowe prostytutki wyciągały w plener przygodnie poznanych w knajpach mężczyzn i obrabiały ich przy pomocy swoich kamratów. Ot, chociażby sprawa tego księdza, który zamienił sutannę na garnitur i poszedł fikać do Casanowy, a że muzyczka różnęła kłiwie i seksownie, dał się pewnej pani wyprowadzić na koziołki, i właśnie tam, na Zdrowiu, wziął go w obroty „brat”, czyli „narzeczony”, czyli „opiekun” tej pani, za co zresztą, stary recydywista, złapał 25 lat.

— Podobnie było kiedyś w „Poniatoszczeniu”.

— Oczywiście, ale jak dawno temu?.. Odkąd Park Poniatowski został uporządkowany, zelektryfikowany, wyposażony w urządzenia sanitarne — zapanował w nim idealny spokój. Dzisiaj, nawet o północy, można iść w miarę spokojnie po jasno oświetlonych alejkach. Czyż nie jest to wystarczająco silny argument, przemawiający za koniecznością natychmiastowego uporządkowania Zdrowia?

Tych argumentów znalazł się jeszcze więcej. Z punktu widzenia urbanistów i architektów, myślących o perspektywicznej rozbudowie miasta, Centralny Park Kultury i Wypoczynku połączy w sposób doskonały centrum Łodzi z jej szybko rozwijającymi się peryferiami, a także w późniejszym okresie, z granicami sąsiednich miasteczek.

Wszystko wskazuje na to, że łodzianie z entuzjazmem zaakceptowali promienną wizję Zdrowia, na którym przecież jeszcze nie tak dawno mieli zamiar osiedlić się łódzcy i nie tylko łódzcy hippiesi.

— Jak jest z inicjatywą społeczną? — pytam kierownika działu społecznego „GR”, Zdzisława Strzepka, którego praca redakcyjna (jeśli w ogóle jest to praca redakcyjna) polega teraz w dużej mierze na organizowaniu gotowych do podjęcia czynu zastępów.

— Otrzymałmy już około osiemdziesięciu zgłoszeń.

— Kto się zgłasza?

— Wszyscy. Najczęściej organizacje młodzieżowe, zakłady pracy, szkoły. Patronat nad całym przedsięwzięciem przejął ZMS, dynamicznie włączył się w akcję Komitet Dzielnicowy, rada narodowa i poleśka milicja.

Ponieważ wiem, że niezłym wykładnikiem nastrojów publicznych są dobrowolne gesty jednostek, pytam red. Strzepka, czy i w tym wypadku zarejestrowano jakieś spontaniczne zgłoszenia.

— Jasne. I to sporo. Otrzymałmy dużo listów od osób prywatnych, które zdecydowały się pracować na Zdrowiu cały swój wolny obowiązków zawodowych czas, a nieraz także kilka z rzędu urlopów wypoczynkowych.

Dalszy ciąg na str. 8

Wiosenny konkurs „Odgłosów”

Jak wiadomo rok bieżący ogłoszony został Międzynarodowym Rokiem Książki. Z tej okazji — jak i z racji Dni Oświaty, Książki i Prasy — ogłaszamy wspólnie z Wojewódzką Biblioteką Publiczną konkurs, którego tematem będzie książka.

W najbliższych numerach „Odgłosów” opublikujemy szereg zadań konkursowych. Odpowiedzi prosimy nadsyłać na kartkach pocztowych — do dnia 10 czerwca — na adres: ŁÓDŹ, „ODGŁOSY”, PIOTRKOWSKA 96 — „WSZYSTKO O KSIĄŻCE”. W losowaniu nagród, które ufundowała Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Łodzi, oraz Zarząd Wojewódzki ZMS w Łodzi wezmą udział odpowiedzi, w których przynajmniej dwa zadania konkursowe rozwiązane zostały prawidłowo.

Na uczestników konkursu czeka 5 EGZEMPLARZY „LEKSYKONU PWN”, 5 KOMPLETÓW PŁYT DO NAUKI JEZYKA OBCEGO, 25 BONÓW KSIĄŻKOWYCH PO 100 ZŁ KAŻDY.

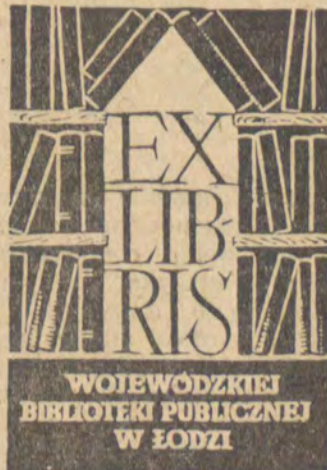


„Wszystko o książce”

ZADANIE KONKURSOWE NR 1

Ex libris — słowa te figurują na tradycyjnych znakach własności książek. Dziś ex librisy stały się raczej przedmiotem pasji kolekcjonerskich, ale żaden większy księgozbiór obejść się bez nich nie może. Nawet jeśli na owym znaku własności zwanym ex librisem nie ma słów „ex libris”. Obok publikujemy ex librisy Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, Miejskiej Biblioteki Publicznej im. L. Waryńskiego oraz „Domu Książki”.

ZADANIE KONKURSOWE: CO ZNACZA SŁOWA „EX LIBRIS”?



MUZY I BOKS

Parę miesięcy temu, zabierając się do pisania epitaforium na zgon „Osnowy”, wygrzebałem z zakamarków biblioteki pierwszy numer tego czasopisma (Almanachu? kwartalnika? — wychodzącego raz na pół roku co dwa lata — jak mawiał Jan Koprowski). Ale przecież zebrało się w latach 1963 — 1971 kilkanaście numerów „Osnowy”. Na zasadzie owego przysłowia rydza, który jest lepszy niż nic — spełniała jakoś „Osnowa” swoje zadanie. Można na nią było wyrzucić, gdy istniała, ale tylko rzut oka na zamieszczoną w ostatnim numerze bibliografię publikacji przekonywał, że wraz z tym ostatnim numerem skończył się dla środowisk twórczych i naukowych Łodzi jakiś istotny etap.

Więc nie ma „Osnowy”, ale czy tylko „Osnowy”?

Spoglądam w spis autorów pierwszego numeru sprzed lat dziewięciu. Ilu z nich opuściło Łódź! Jan Szczepański, Marian Piechal, Anna Pogonowska, Jan Koprowski, Jarosław Marek Rymkiewicz, Tadeusz Gicgier... lista, jakże niepełna, nazwiska wybrane z jednego tylko numeru nie istniejącej „Osnowy”.

Bilans jest smutny i mało optymistyczny, choć może ktoś powiedzieć, że to nie zjawisko, tylko tendencyjnie dobrane poszczególne przypadki. Zgoda — to tylko przypadki — ale zjawiska składają się z poszczególnych przypadków.

„Muza — nie być bokserem, znaczy nie być wcale” — napisała w gorzkim wierszu Wisława Szymborska. Usłyszałem niedawno w telewizji pretensje dziennikarza, który relacjonując porażki młodych florecistów na mistrzostwach w Madrycie, powiedział: „Niezasadnione oszczędności czynione przez władze spowodowały, że floreciści nie brali w ubiegłym roku udziału w mistrzostwach w Chicago. I oto jak się mści roczny brak kontaktów ze sportowym światem — władze Polskiego Związku Szermierczego powinny to przemyśleć...”

Czy mógłbym jako pisarz i jako dziennikarz czynić podobne uwagi w odniesieniu do środowisk twórczych, nie narażając się na śmieszność? Już słyszę te kąśliwe uwagi poddające w wątpliwość sens pisania książek i wierszy, już słyszę te biadania, że „mamy pięćdziesiąt literatów, ale nie mamy dobrych książek...”. Przy beztrząsanej pewności siebie i dość dokładnym braku czytania, można podobne opinie wygłaszać na temat każdego środowiska literackiego, zmieniając tylko początkową liczbę — pięćdziesiąt literatów, piętnaście literatów, tysiąc literatów... Metoda jest sugestywna i ma to do siebie, że przy jej zastosowaniu kończy się wszelka dyskusja.

I mam w pamięci słowa dyrektora wielkiej fabryki, który z ekranu telewizyjnego obwieścił urbi et orbi, że nie ma książki o Łodzi, choć w katalogu tema-

tycznym Biblioteki im. Ludwika Waryńskiego znajduje się ponad dwa tysiące pozycji literatury pięknej i popularnonaukowej i historycznej na ten temat. Tylko dyrektor po prostu i zwyczajnie o tym nie wie. I mam w pamięci fakt, kiedy to książkę o przeszłości łódzkiej fabryki, skierowaną do kolportażu w tejże fabryce kupiły... dwie osoby. Drugie dwa egzemplarze zakupiła rada zakładowa.

Czy mogę za to winić moje miasto, które miało i ma furę kłopotów i trosk o wiele poważniejszych od literatury? Ale literatura jest także sprawą poważną, tylko, im łatwiej ją lekceważymy dzisiaj, z tym większym poczuciem winy zbierać będziemy jej niedojrzałe owoce jutro. „Społeczeństwo bardzo się trudno oswaja z myślą, że literatura zasługuje na opiekę”. Słowa te napisał Jan Parandowski.

Gotów jestem przyjąć twierdzenie, że za wszelkie spadki w literackiej lidze, za niedojrzałość owoców, za pomyłki — ponosi winę środowisko literackie. Od tej odpowiedzialności nikt się z nas nie uchyli, ale czyż można zapomnieć, że pisarz nie działa w próżni, że potyka się i myli razem z Czasem, który jest mu dany, że wpłataje się w sprawy i układy rzeczywistości, niezależnie — dobre czy złe... Czy architektki ponoszą winę, że przed paroma laty budowano kuchnie bez okien? A przecież projektował te domy architekt.

Roczny brak kontaktów z floretem zagranicznego sportowca mści się bardzo. To prawda i miał rację sprawozdawca. Prawdą jest jednak także i to, że przynajmniej w tym samym stopniu mści się na pisarzu brak kontaktu ze swoim własnym słowem, zobjektywizowanym przez druk. Zwłaszcza druk na łamach czasopisma, docierającego szerzej niż książka. „Muza — nie być bokserem...” Nie jestem bokserem, przeto odszaniam się jak dziecko i ustawiam w pozycji do bicia. Pierwszy lewy prosty będzie się zwał „czarnowidztwo”, drugi lewy hak będzie się zwał „wygórowane żądania”, trzeci lewy sierpowy będzie się zwał „demagogia”... A potem poleca dalsze.

Przed tymi ciosami zasłaniać się mogą tylko wrodzona lekkomyślnością. Zresztą świadomie przeczerzaniem rysunek. Czynie to wszelako w dobrze pojętym interesie nie tylko środowiska literackiego, ale także tego, co określamy mianem oblicza kulturalnego Łodzi. Tego oblicza nie można, jak ci straszni mieszczanie z wiersza Tuwima, widzieć oddzielnie. Na oblicze kulturalne składa się bowiem równocześnie i tygodnik społeczno-kulturalny (bardziej dostępny, nie stroniący od „kryminału” i krzykówki nawet), i miesięcznik artystyczno-naukowy, i Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne (które staruje aktualnie z bardzo ciekawym pla-

nem), i bogaty i różnorodny program łódzkiej rozgłośni Polskiego Radia, i prasa codzienna, poświęcająca wbrew obiegowym opiniom — sporo miejsca literaturze...

Ta wielość elementów tworzy dopiero obraz pełny, bogaty w kolory i odcienie. Kreślenie granic między przysłowiowym „kryminałem” i równie przysłowiową „poezją” nie da poza tworzeniem zamkniętych kręgów czytelniczych. W moim przekonaniu natomiast ideałem czytelnika, do którego warto dążyć, jest — najogólniej mówiąc — człowiek czytający jednocześnie „Kulisy” i „Życie Literackie”, „Politykę” i „Literaturę”... Mimo trzydziestu paru miliardów złotych, leżących dziś w Łodzi na koncie „Ma” — nie stać nas na rezygnację z tego kapitału, jakim dysponuje środowisko literackie miasta. Warto więc raczej myśleć jak wyważyć proporcje, niż co eliminować. Wiem, że wyważając proporcje z czegoś trzeba rezygnować, ale to jednak nie to samo.

Raz jeszcze przywołam tu gorzkie słowa Jana Parandowskiego: „Społeczeństwo bardzo się trudno oswaja z myślą, że li-

teratura zasługuje na opiekę”. A przecież zasługuje — co do tego nie ma wątpliwości. Na koniec cytuję z „Nowych Książek”, gdzie Stanisław Siekierski tak pisze o Łodzi: „Wyrósł w niej przecież wspólnie inicjatywy i instytucje kulturalne. Wyrastali i wyrastają w niej ludzie zdolni i utalentowani, żarliwi i bezkompromisowi w działaniu i tworzeniu. A przecież ślepotą byłoby nie dostrzegać, że fatalna tradycja molocha do produkcji przędzy i tkanin nie odbija się do dziś na życiu kulturalnym”. Przechodzenie nad tymi tradycjami do porządku dziennego w zadufanej pewności, że życie można zmienić deklaracjami, odbija się na funkcjonowaniu i mechanizmach kulturalnej maszyny.

Nie chcę kończyć minorowo, wszak przed Łodzią lata tłuste i przyszłość jasna (żeby nie rzec świetlana). Aby owa świetlana przyszłość była również światła warto myśleć nie tylko o nakładach czasopism, ale i obrazie literatury i sztuki na ich łamach, nie tylko o popularyzacji, ale i o eksperymencie... Aby oblicze kulturalne Łodzi było wielością.



Lucjan Mianowski — „KULA” — litografia.

TERESA WOJCIECHOWSKA

REFORMA SZKOLNA I PROGRAM

Nie odkryję Ameryki stwierdzeniem, że szkoły ogólnokształcące nie przywiązywały nigdy specjalnej wagi do przedmiotów artystycznych a już szczególnie muzyki. Postępy z tego przedmiotu nie ważyły nigdy na opinii o uczniu, ani o ocenie jego pracy. Program nauczania ośmioklasowej szkoły podstawowej zmienił znacznie tę sytuację, opracowując szczegółowo plan

zajęć wychowania muzycznego. Zreformowane szkolnictwo zastąpiło dwa terminy: śpiew i muzyka jednym — wychowanie muzyczne. W sposób bardziej atrakcyjny i szerszy ujęto całokształt przygotowania młodego pokolenia do odbioru muzyki, do wychowania przyszłych bywalców sal koncertowych i teatrów operowych.

Program ten przewiduje trzy główne formy zajęć lekcyjnych: pieśniarstwo (czyli śpiew), muzykowanie i słuchanie muzyki. Program opracowany jest szczegółowo i ze znajomością rzeczy, zakłada przy tym stosowanie nowoczesnych metod nauczania przy użyciu pomocy takich jak magnetofon, adapter, dość bogaty zestaw instrumentów. Wydano doskonałą i dostępną dla każdej szkoły płytę obejmującą nagrania ilustrujące zajęcia teoretyczne.

Jednego tylko reforma nie przewidziała: czasu potrzebnego na zrealizowanie tego słusznego i pożytecznego programu. A czas ten jest o połowę za mały. Jedna godzina tygodniowo na śpiew, grę na instrumentach i słuchanie muzyki, to po 15 minut tygodniowo dla każdej z form. Program nie przewidział też trudności bazy materialnej i kadrowych. A nie najlepiej jest z tą bazą materialną. Założeniem jest bowiem istnienie w szkole gabinetu muzycznego, sali specjalnie urządzonej i przeznaczonej wyłącznie do zajęć muzycznych. Nie wiem ile istnieje w łódzkich szkołach podstawowych takich gabinetów. Przypuszczam, że dałyby się policzyć na palcach jednej ręki. Łatwa się ten brak tzw. klaso-pracowniami, a za tą nazwą kryje się normalna klasa, w której odbywają się wszystkie lekcje, tyle że wyposażona w szafkę z mniej lub bardziej zasobnym zestawem in-

strumentów muzycznych. Ale i na klaso-pracowni jeszcze nie wszystkie szkoły się zdobyły.

W tej sytuacji zamierzenia Instytutu Pedagogiki opracowującego nowy, jeszcze bardziej nowoczesny pomyślany program wychowania muzycznego w klasach I—IV, program wprowadzający w dodatku do tego przedmiotu naukę dykcji i mowy — w dotychczasowym wymiarze godzin — wydaje się trudnym zupełnie zbędnym.

Łódzki Okręgowy Ośrodek Metodyczny jest jednym z najprężniejszych w kraju i w miarę możliwości czyni wysiłki, by wychowanie muzyczne nabrało w szkołach rangi innych przedmiotów, by baza materialna nadążała za programem. Kierownik Sekcji Wychowania Muzycznego OOM mgr Stefania Iwińska mówi:

— Nasze postulaty to przede wszystkim zwiększenie liczby godzin z jednej do dwóch tygodniowo. Bez tego program jest niemożliwy do zrealizowania. Inną sprawą jest problem pomocy naukowych, bazy materialnej. Jej wzbogacenie postępuje i będzie postępować stopniowo. Już dziś jest w tej dziedzinie znaczna poprawa. Natomiast od zaraz chcielibyśmy uzyskać pomoc od telewizji. O ile audycje radiowe, mające zresztą już dawne tradycje w tej dziedzinie, nadawane są metodycznie i w odpowiednich godzi-

nach, o tyle ze strony telewizji nie mamy żadnej pomocy. Audycje muzyczne, które ewentualnie nadawałyby się dla szkół, mają miejsce w późnych godzinach wieczornych. A przecież w przedpołudniowym cyklu telewizyjnych audycji szkolnych można by uwzględnić również muzykę. Jeszcze inny problem to śpiewniki. Te, które nauczyciele mają do dyspozycji, są już przestarzałe, nowe nie wychodzą. Kompozytorzy unikają jakoś twórczości dla dzieci. I tutaj wiele korzystamy z radia. Piosenki radiowe wydawane, lub przegrywane na taśmie, pomagają nauczycielom w pracy.

Brak śpiewników ma konkretne podłoże, oczywiście materialne. Bo napisanie przeboju, piosenki estradowej przynosi autorowi obok popularności również poważne profity. Natomiast napisanie piosenki dla dzieci, wcale nie łatwiejsze, to ani popularności ani pieniędzy. Sprawę tę powinno chyba załatwić Ministerstwo Oświaty z kompozytorami inicjując wydanie, czy też periodyczne wydawanie, śpiewnika na podobnej zasadzie, na jakiej PWM wydaje utwory o charakterze pedagogicznym dla szkół muzycznych.

Wspomniałam również o trudnościach kadrowych. Jak to jest z tymi kadrami muzycznymi? Nie najlepiej chyba. Wprawdzie tylko 5 procent stanowią nauczyciele najmniej wykwalifikowani — absolwenci liceów pedagogicznych (nie było tam specjalizacji i do

Byłem niedawno świadkiem zdarzenia raczej niecodziennego. Widziałem, jak młody człowiek napadł w biały dzień na samego siebie w centrum Zakopanego. Była gdzieś godzina dziesiąta rano, piękny, słoneczny dzień marca, kolorowy, pogodny tłum spacerował Krupówkami. Szło przede mną trzech młodzieńców. W pewnym momencie jeden z nich wyciągnął nóż i zadał sobie nim silny cios w brzuch. Upadł na środek jezdni, wijąc się w śmiertelnym skurczu. Kiedy przyjechało pogotowie, jeszcze żył. Może w ogóle nie umarł?

Osobiście mam zbyt rozwinięty instynkt życia, żeby to zjawisko zrozumieć. Była to demonstracja, akt desperacji, czy może jakaś zupełnie nowa odmiana ekshibicjonizmu. Medycyna dzieli samobójstwa na prawdziwe i demonstracyjne, dokonane i usiłowane oraz na altruistyczne, egoistyczne i patologiczne. Zapewne nigdy nie dowiem się, jakiego samobójstwa byłem świadkiem. Zresztą wcale nie interesują mnie podziały, gdyż są one dość płynne. Samobójstwo demonstracyjne bardzo łatwo może się zamienić w prawdziwe, a próba prawdziwego — może się nie powieść i wtedy zaliczymy je do kategorii usiłowanych.

Na początku naszego stulecia przeważały samobójstwa dokonane nad usiłowanymi, obecnie mamy więcej samobójstw usiłowanych niż spełnionych. Codziennie na naszym globie próbuje sobie odebrać życie około 10.000 osób, faktycznie zaś ginie śmiercią samobójczą każdego dnia 1.000 osób. Całe szczęście, że tyle samobójstw jest nieudanych, jeśli w ogóle w tej materii można się pojąć „szczęściem” bez specjalnego skrupowania posługiwać.

Walczą w nas ciągle dwa instynkty, instynkt życia i instynkt śmierci. Ale ostatnio instynkt życia wychodzi z tych zmagających się coraz bardziej osłabiony. 85 proc. ludzi ma dziś myśli samobójcze. Oczywiście droga od projektu do efektu jest dość odległa, lecz nie na tyle odległa, żeby zapobiec tak licznym nieszczęściom. Jeśli bowiem zwycięstwo instynktu śmierci w sensie religijnym jest grzechem, to w sensie świeckim jest właśnie nieszczęściem. Jako laik wyznaję na ten temat poglądy racjonalistyczne, uważam, że jeśli człowiek ma prawo do własnego życia, powinien mieć również prawo do własnej śmierci, ale nie zaraz samobójczej. W krajach głęboko religijnych samobójstw jest pozornie mniej. Rzecz polega na tym, że rodziny w obawie przed hańbą, jaka spada z tego powodu na ich dom, często ukrywają samobójstwa swych bliskich i stąd ta obniżona statystyka, zwłaszcza wśród wyznawców islamu.

Istota sprawy nie tkwi jednakże w statystyce, która zawsze będzie tu ponura, lecz w owym wiecznym pytaniu: żyć, albo nie żyć. W końcu przecież nie tyle nawet samo nasze życie jest zagrożone, co raczej nasz układ nerwowy.

Samobójstw patologicznych, a więc wynikających z chorób psychicznych jest stosunkowo mało, zaledwie 10 proc., reszta to ludzie umysłowo zdrowi, dokonujący zamachu na siebie w afekcie, pod wpływem różnych napięć, frustracji, stressów i chwilowych niepowodzeń. Dawniej w pewnych sytuacjach dramatycznych panienki histeryzowały i omdlewały, dziś natychmiast demonstrują samobójstwo. Matka nie chce kupić dziewczynie kiecki w komisie, już jest powód, żeby odkreść kurki w kuchni i zatruć się gazem. Zdarzyło się, że chłopak popełnił samobójstwo dlatego, że rodzice nie pozwolili mu obejrzeć „Kobry”.

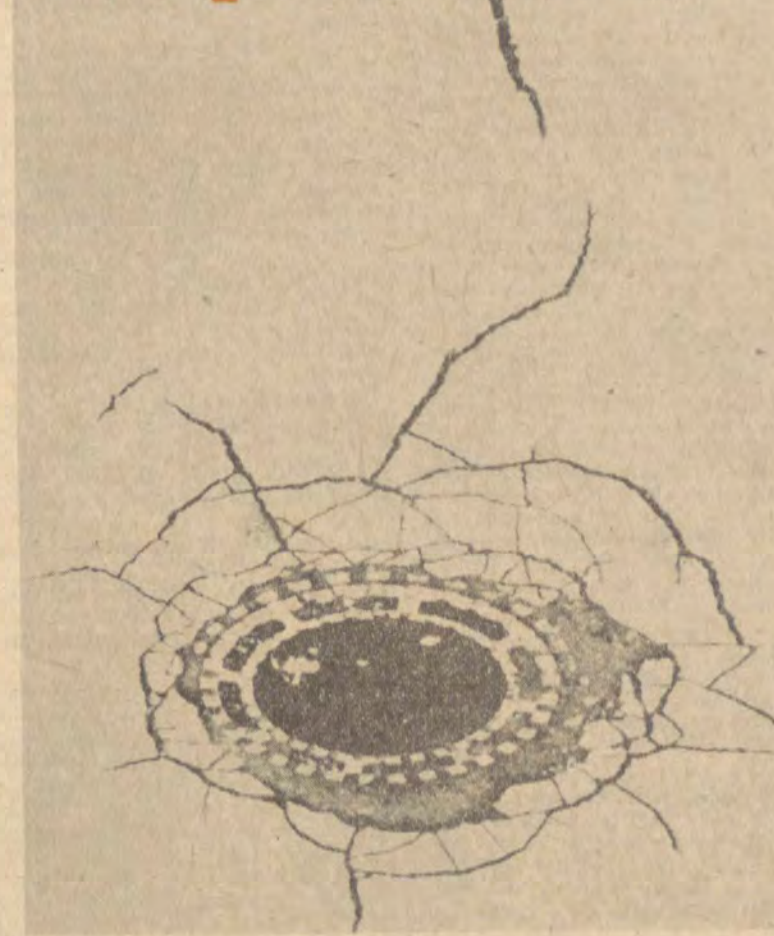
Spotykamy się w tym względzie z reakcjami niewspółmiernymi do bodźców. Zamachy samobójcze stały się m.in. dla określonej grupy młodzieży pewną formą szantażu, wymuszenia, że nie powiem dosadniej — stylem bycia. W Łodzi, w ostatnim czasie padły błady strach na nauczycieli. W ubiegłym roku 61 uczniów usiłowało popełnić samobójstwo. Rodzice oskarżają o to nauczycieli, nauczyciele rodziców. Wstrzymałbym się z tymi pochopnymi wzajemnymi oskarżeniami, choć nie wykluczam wyjątków słusznych. Trudno jednak wymagać od nauczycieli absolutnej tolerancji w egzekwowaniu wyników nauczania jak również od rodziców stosowania spartańskich metod w wychowaniu.

Warto zadać sobie pytanie, dlaczego nasza młodzież jest tak mało odporna psychicznie, że z powodu dwójki dziecko potrafi skutecznie targnąć się na swe życie. Mam przed sobą list 11-letniego ucznia, który napisał przed śmiercią:

„Nie byłem dobrym uczniem, ale chciałem się uczyć, ale nie mogłem. Bardzo was przepraszam, że zjadłem tę śmietanę, bo mi smakowała. Przepraszam was za wszystkie przykrości, które wam sprawiłem. Tatusiu i Mamusiu oraz Elżuniu, ciężko mi pisać, bo boli mnie głowa. Gaz się ulatnia. To tylko przez matematykę. Ela, weź wszystkie moje przybory, bardzo będę zadawolony. To tylko zastępa J. (tu nazwisko nauczycielki). Czekam na śmierć. S.”

Zaprawiony jestem w czytaniu różnych tekstów, lecz treść tego listu zrobiła na mnie duże wrażenie. Pozwoliłem go sobie zacytować nie dla dziennikarskiego efektu, nie dla zbulwersowania opinii, ale dlatego, że to nie-

Samobójstwo na Krupówkach



szczęśliwe dziecko już w pierwszym zdaniu wyraziło prawdę, którą wszyscy znamy, lecz nie uświadamiamy sobie dokładnie jej skutków. „Nie byłem dobrym uczniem, ale chciałem się uczyć, ale nie mogłem” — napisał mały chłopiec przed śmiercią. Nie sądzę, żeby był on niedobrym uczniem, jemu się tylko tak zdawało, pozostałe dw. członki zdania są najczystsza prawdą: „Chciałem się uczyć, ale nie mogłem”.

Pojemność dziecięcej główki jest przecież ograniczona, tymczasem programy szkolne tego nie uwzględniają, dzieci są przeciążone nauką. Jeśli 75 proc. uczniów w niektórych klasach ma stopnie niedostateczne, to nie można za ten stan obarczać winą ani dzieci, ani nauczycieli. Wydaje się, że programy są złe, przeladowane materiałem, dostosowane do poziomu uczniów najinteligentniejszych, gdy tymczasem największą grupę stanowią dzieci o średniej, przeciętnej inteligencji.

Znany mi jest wypadek, gdzie podczas wizytacji inspektorów wyselekcjonowano z dwóch równoległych klas najlepszych uczniów, aby nie ujawnić przed wizytatorami prawdziwego, średniego poziomu nauczania. Pomijając szkodliwość pedagogiczną takich manipulacji zadaje pytanie: czyby nauczyciele byli rzeczywście zmuszeni dla ratowania swego reputacji w oczach inspektoratu uciekać się aż do podobnych praktyk? Wszystko możliwe na tym najdziwniejszym ze światów.

Tymczasem co czwarta dziewczyna i co piąty chłopiec, usiłując popełnić samobójstwo, podają jako główny motyw kłopoty szkolne. Piszę celowo „kłopoty

szkolne”, a nie „dwójki”, ponieważ stopnie niedostateczne są często już tylko ową przysłowio-

wą kropką. Rzecz jasna nie wolno zapominać tu również o kłopotach rodzinnych, a także i miłosnych, zwanych dziś naukowo seksualnymi.

Samobójstwa usiłowane, demonstracyjne powinno się traktować jako wołanie o pomoc. W ten drastyczny sposób dziecko zwraca uwagę, że coś z nim nie jest w porządku. Właśnie tego typu zamachy samobójcze stanowią najpoważniejszy problem i jest to zrozumiałe, albowiem na samobójstwa dokonane raczej nie mamy już większego wpływu.

Odkryto się niedawno w Łodzi posiedzenie Towarzystwa Higieny Psychiczej, na którym wybitni ludzie nauki zastanawiali się nad tymi sprawami w sposób bardzo gruntowny. Okazuje się, że w naszym mieście sytuacja pod tym względem jest dość szczególna. Rocznie ponad 7.000 młodych dziewcząt w wieku 15—19 lat próbuje odebrać sobie życie. Nie znaczy to tylko, że na każde 100 dziewcząt jedra igra ze śmiercią, lecz, że raczej alarmuje, daje sygnał ostrzegawczy. Wskaźnik dla chłopców jest trochę mniejszy. W ogóle na 10.000 mieszkańców, wśród chłopców mamy 19 samobójstw dokonanych, wśród dziewcząt — 23 samobójstwa. Spośród odratowanych 60 proc. przyznaje się do samobójstw demonstracyjnych. Jak na zabawę, to wcale niezabawny sposób. Wśród dziewcząt szczególnie 17—19-letki wpadają najczęściej na ten niebezpieczny pomysł. Okazuje się, że chłopcy są bardziej odpowiedzialni. Proporcje układają się jak 24:76. Z wiekiem te proporcje się wyrównują, ale nadal z przewagą płci żeńskiej.

Rzecz znamienita, że i pory roku odgrywają tu również pewną rolę. Najwięcej samobójstw dziejących się w marcu, potem w październiku i listopadzie. Te trzy miesiące są niejako w ogóle sezonem samobójców. Warto zwrócić na to uwagę, jak i również na to, że samobójcy nie rezonują w trakcie tej smutnej czynności. Jest to akt emocji. Niektórzy wyznają pogląd, że samobójstwa współczesne są nową wersją selekcji naturalnej, która, jak wiadomo, bardzo znacznie zmalała wskutek postępu medycyny. Najbardziej symptomatyczny jest wzrost tzw. samobójstw egoistycznych, w których delikwent dochodzi do wniosku, że nie opłaca mu się żyć. Inna grupa traktuje z kolei samobójstwo jako odwet. Najmniej jest samobójstw altruistycznych, samobójstw ze szlachetności, zaniknęły prawie zupełnie samobójstwa honorowe, co dowodzi, że dzisiaj ludzie nie honorowi wcale nie wstydzą się żyć.

Jakie zastosować środki zaradcze przeciwko samobójstwom? Brak mi, niestety, odwagi i kompetencji, aby odpowiedzieć na to pytanie, na które powinni nam dać odpowiedź przede wszystkim specjaliści. Proszę bardzo.

prowadzenia zajęć muzycznych przygotowywali się jednakowo przyszli nauczyciele polskiego, rachunków i muzyki), większość stanowią absolwenci SN-ów, ale i tam również nie było specjalizacji. A tymczasem program zreformowanej szkoły podstawowej mówi:

„(...) Śpiew nauczyciela powinien być poprawny pod względem muzycznym i głosowym, ponieważ na tej podstawie dzieci kształtują swoje wyobrażenia muzyczne. Podawanie i powtarzanie dobrych wzorów jest koniecznym warunkiem rozwijania zdolności muzycznych dzieci (...). Pożądane jest, aby w czasie lekcji wychowania muzycznego nauczyciel postugiwał się instrumentem muzycznym (...).”

A więc od nauczyciela tego przedmiotu wymaga się wiele. Nie tylko znajomości przedmiotu, ale również głosu i gry przynajmniej na jednym instrumencie. Instrumentem takim powinien być chyba przede wszystkim fortepian, a wiadomo, że nauka gry na fortepianie trwa dość długo. Skąd więc brać te fachowe kadry? Wydawałoby się, że przede wszystkim ze szkół muzycznych. Niewielu pedagogów dadzą wyższe uczelnie, są wszakże i szkoły średnie. Absolwent szkoły średniej ma za sobą 12 lat nauki muzyki i na pewno zasób umiejętności wystarczający, by uczyć w szkole podstawowej. A na pew-

no większy niż absolwent SN, który wiedzę muzyczną zdobywał przez dwa lata i to w mniejszym zakresie. Ale absolwent SN ma dyplom ukończenia studiów pół-wyższych i odpowiednio wyższą gaźę niż absolwent szkoły średniej, choćby zawodowej — muzycznej. (Sprawy materialne reguluje już nowy system uposażeń nauczycieli, piszę o nich teraz, by wyjaśnić istniejący stan rzeczy). I zapewne dlatego, z braku kandydatów, wydział pedagogiczny przy Liceum im. Wieniawskiego został zlikwidowany. Nie wiem czy nie warto by pomyśleć o reaktywowaniu go.

Perspektywy poprawy rysują się dziś realnie. Od września br. rozpoczyna w Łodzi pracę WSN, z kierunkiem muzycznym. Uczelnia taka, również z kierunkiem muzycznym, działa już w Zgierzu. Ale znów, trzy lata studiów to nie za wiele na naukę muzyki. Warto więc, by od kandydatów, wstępujących na kierunek muzyczny WSN wymagano określonego przygotowania w tym przedmiocie.

O ile jednak w szkołach podstawowych sytuacji kadrową można by określić jako „dobrą, ale nie beznadziejną”, to zupełnie źle jest w szkołach średnich. Złe jest zresztą nie tylko z kadrami, jeszcze gorzej z traktowaniem przedmiotu, który jest nieobowiązkowy, a w klasie IV zupełnie znika. Na 27 liceów łódzkich jest

19 nauczycieli, w dodatku nie wszyscy z wyższymi wykształceniem. Zapewne ich przeciążenie pracą i zmęczenie sprawia, iż na lekcjach przeważa forma wykładu, wygodna wprawdzie dla nauczyciela, ale nudna dla ucznia, albo też suchanie muzyki z taśmy czy płyt, bez komentarza, co znowu jest wygodne dla nauczyciela, ale za to mało pożyteczne dla ucznia. Wychowanie muzyczne w szkołach średnich jest obecnie przedmiotem obserwacji OOM, potem przyjdą wnioski.

Zapewne ta sytuacja w szkołach średnich jest przyczyną wymierania chórów szkolnych. Od 12 lat odbywają się w Łodzi przeglądy chórów szkolnych, które na przestrzeni tych lat zmieniły nazwę — od Festiwalu Pieśni Chóralnej po Święto Pieśni Chóralnej i Zespołów Instrumentalnych. Pod taką nazwą odbyła się impreza tegoroczna. A nazwa znalazła odbicie w zestawieniu koncertu galowego. Na dwanaście występujących w koncercie zespołów znalazło się tylko 5 chórów (4 liceów ogólnokształcących i 1 Liceum Wychowawczyń Przedszkoli), chórów o wieloletnich tradycjach. Gdzież te czasy, kiedy Łódź przodowała w pieśni chóralnej, kiedy w zestawieniu koncertu galowego były trudności tyle było chórów godnych publicznej prezentacji! Resztę tegorocznego programu wypełniły występy zespołów wokalnych, instrumentalnych i

wokalno-instrumentalnych. Były one reprezentowane przeważnie przez młodzież techników zawodowych. Może i w tym „przeprofilowaniu” nie byłoby nic złego, może można by je wylumaczyć zmianą zainteresowań młodzieży; w końcu nie jest źle, że młodzi nie tylko śpiewają, ale i grają. Może, gdyby nie repertuar przez te zespoły zaprezentowany. Repertuar mało wartościowy, typowo rozrywkowy: przeboje i muzyka operetkowa.

Budź to obawę, że zespoły muzyczne przy szkołach powstają nie dla umuzykalniania młodzieży, nie dla radości muzykowania, lecz w celach czysto użytkowych: wypełniania części artystycznej okolicznościowych imprez lub innych występów estradowych. Ze może zaistnieć sytuacja podobna, jak na niektórych zajęciach wychowania fizycznego, gdzie nauczyciel zamiast zająć się rozwojem fizycznie słabszych dzieci, tworzy drużynę reprezentacyjną do zawodów międzyszkolnych i pracuje z określoną grupą młodzieży najsilniejszej fizycznie, słabi natomiast pozostają na uboczu.

Wychowanie muzyczne dziecka to problem wykraczający poza sam przedmiot. To kwestia podnoszenia ogólnej wrażliwości na piękno, wyrabianie poczucia i za-

milowań estetycznych, to wkład w podnoszenie ogólnego poziomu kulturalnego młodzieży. Oczywiście nie załatwi tego sama szkoła, pomagają jej w mniejszym lub większym stopniu zainteresowane zdybaniem przyszłego słuchacza instytucje. A więc Filharmonia poprzez od wielu lat z dobrym skutkiem prowadzone audycje szkolne, SPAM, Łódzkie Towarzystwo Muzyczne.

To ostatnie wystąpiło w tym roku z cenną — jak się wydaje — inicjatywą. Zorganizowało mianowicie Międzyszkolną Olimpiadę Muzyczną na wóz, innych, popularnych już olimpiad. Jest ona zorganizowana w ten sposób, że każda ze szkół wystawia 4-osobową drużynę. Podczas jednej imprezy walczą ze sobą trzy drużyny. Jednocześnie, każda ze szkół, którą reprezentują zawodnicy, uczestniczy w części artystycznej spotkania. W tym roku Olimpiada obejmie około trzydziestu szkół, a na podstawie tegorocznych doświadczeń, w przyszłym roku zakrojona będzie na szerszą skalę. Inicjatywa ta jest podwójnie cenna, niesie bowiem element rywalizacji sportowej, a cóż popularniejszego niż sport wśród dorosłych i dzieci.

Takie inicjatywy, oczywiście, pomogą, ale nie zastąpią dobrze realizowanego, w rozsądnej ilości godzin, programu szkolnego.

Od ludzi odchodzisz, od domu...

Wieczór sunie przez sad. Duszny wieczór czerwcowy, pachnący sianem, maciejką. Kot mruczy pod piecem. Wojtuś śpi. A ona wpatrzona w niego.

— Spij, synku, pójdę do chłopaków, do dziewczyn. Trzeba włączyć się do życia, wtedy wszyscy przywykną, zapomną.

Podchodzi nieśmiało pod chałupę soltysa. Z okna do sadu prószy naftowym światłem. Zebrał się przed żniwami, uradzają coś, myśli.

Stała w drzwiach ze spuszczoną głową. Rozmowa urywa się. Bolek wyskakuje zza stołu, podaje krzesło. — To jest właśnie Maryśka, kolega przewodniczący — mówi Bolek do czarniawego, w wosach, młodego mężczyzny, który uśmiecha się przyjaźnie do dziewczyny.

— Znam, koleżanko, waszą sprawę. Janek był u nas w zarządzie powiatowym, prosił o pomoc. Ale coż my możemy? Pracę byśmy wam załatwili, ale mieszkanie... Rozumiecie... Trzeba by było u ojca mieszkać, a on chyba nie zezwoli pracować wam w mieście?

— Mogłabym zrobić coś we wsi, pomóc w czymś. Wieczorami chłopiec śpi...

— Tak... ale widzicie... W tej wsi jesteście spalona. Ludzie jako argument przeciwko organizacji wezmą was. Powiedzą, że taki przykład, że to, tamto...

— Ale przedtem zbierałam cięgi za innych! Byłam wam potrzebna, tak?! — wybucha.

— Ona mogłaby zająć się tym dzieciniec podczas żniw — przerywa Janek.

— No, tak, ma wprawę — ożywia się Bolek. — Można by załatwić w kółku rolniczym, aby ojcu szybko skoszono, a Marysia niech by z dziećkami...

— Lepiej przeczekać, aż się uspokoi, przycichnie — sprzeciwia się Zośka. Przecież kobiety mogą jej nie dać dzieci pod opiekę.

— To ja sam je sprowadzę — wyrzywa się Janek.

— A może byś już dziś poszedł do Marysi? Wojtka byś pobawił — mówi zgryźliwie Zośka.

— Eee, bo ty co dnia idziesz do pracy w mieście, a ona wciąż w domu, między ludźmi. Nie rozumiesz tego...

Nie słuchała dalszych rozważań na temat jej przydatności do pracy w kole. Trzasnęła drzwiami. Milczeli. Janek westchnął. Wstał i wyszedł z izby.

Zadzwoniły kosi, zachrząściło w polach padające zboże. Klekotały kosiarki. Głenia sprowadziła dzieci w podwórko starego Józefa. Wojtuś gmera się na kocyku, większe dzieci krążą w kółeczku, „mato nas do pieczenia chleba” śpiewają. Dochodzi południe. Wracające z pół kobiety idą do obejścia u Gieni.

Dzieci nie ma. — Co jest, do cholery — pyta któraś z kobiet. — Smichy, chichy robią, czy jak? Dziewczyna pasowuje.

— Nie zdą... żyłam sprowadzić ich tu... tak — bąka.

— Skąd? Gdzie te nasze dzieciaki?

— U Marysi, bo... Nie dały jej dokończyć. Wpadają na podwórko Józefa. Gniew burzy się w zapoconych twarzach.

— To takiej dzieci dać w ręce? — Jezusie! Wyuczylaby ich, no! Została sama na podwórku. U jej stóp poplakał Wojtuś.

I znów gorzki wieczór. Patrzy Maria na śpiącego chłopczyka. Czeka niecierpliwie na przebudzenie. Będzie chociaż z kim pogadać. Aż w te dobre, chociaż smutne i samotne wieczory wpełza coś złego, nieoczekiwanego. Za oknem splaszczony, pijane twarze. Palce całe w tytoniu bębnią w szyby. Nawet ten rudawy Antek z naszej wsi deuce pod oknem maciejke, nagietki. I łomocą piąchami po zamkniętych na rygiel drzwiach. Poplakuje zbudzony Wojtuś. Żeby choć ojciec nadszedł, żeby wrócił Janek... Ale Janek nie podchodził pod dom od żniw.

— Wyjdź, Maryśka, nie żałuj! — I nie pucz się, Mańka, nie wypinaj tyłka na całą wieś!

— Z miastowym toś się puściła, a na swoich chłopaków plujesz!

Niestrudzenie koczują pod chałupą. Dzwonią szkłem, bułgocą. Z trzech gruszowych koron liść się sypie od śpiewki.

Maryśka moja, Maryśka, chodźże z nami spać do łóżka!

Sporo tych wieczorów w końskim zalocie. A zapłocia strzygą uszami, kocim patrzą okiem. A czego nie usłyszą, nie dojrzą, to urobą od igły do widel. Podbechtują starego Józefa, judzą. Trudno w izbie wytrzymać, kiedy wróci od wdowy Honoroki. Przeto Marysia wychodzi w sierpniową noc.

Słychać w sadach ściszone szepty i rozmowy. Ktoś podąża z krańca wsi. Śpiewa o żołnierzu, o sercu w plecaku. Znajomy ten głos... Ale żeby o jany?... — Ktoś się czai pod plotem? Zbój jaki? — pyta Janek.

— To ja, Marysia...

— A... ty... Zle z tobą, Marycha. Różnie ludzie gadają. Ale ja nie wierzę. Cóż jednak sam pocznę?

— Inny jesteś, Janku. Nie widzę cię nigdy... Tak długo... Wypileś dziś?

— A bo mi nie wolno?! — Wolno ci... Ale miałeś się uczyć... Nie jeździsz podczas wakacji na te konsultacje.

— No i nie pojedę! Skończyłem ze szkołą. Widzisz — mówię ciszej — ja żenię się z Zochą. Ona już zasmakowała miasta, ziemi wcale nie pragnie. Przenosimy się do miasta...

— Tak, tak — szepcze Marysia. — Nie miej, Maryś, żalu... Nie obiecywałem ci niczego. Unikaliś mnie, nie chciałaś...

— Ja... nie... Wszystkiego dobrego ci życzę. Byś nie tęsknił za wsią...

Przycichają, toną w ciemnej wodzie nocy kroki Janka. Skrzydło wiatru musnęło koronę sadu, zaszeptano... Z wywartego okna rozległ się płacz zbudzonego dziecka.

Wdowa Honorata furkocze spódnica po izbie. Gieź ją dziabnął w zadek. Zła...

— No, co siedzisz jak sowa? — burczy na zgarbionego, mrukiwego Józefa.

— Daj spokój, Honorata. Honorka podwija spódnice, lyska bujnym udem.

— Tu! — krzyczy — do tego przylazłeś! A tak przy wnuczusiu tańczysz, przy córce!

— A dać ja za tobą, Honorka! Moja wina, że tak się stało?

— A twoja! Nie dopilnowałeś, nie wydałeś za mąż.

— Honoratko! Po kopaniach bierzemy ślub, zgoda?

— Nie kłam! Stary, a cygani, jak nie wiem. Nie słyszałam, co ty ochlapusie gadał przy wódce z soltysem? Dziedzica już masz, tak? Niepotrzebna ci Honorka!

— Honoratko! Nie krzycz. Mańka nam pomoże, może kiedy się wyda. A dzieciak ledwo co zje, uchwata się...

— Nie! Ja do ciebie nie pójdę! Nie myślę cudzych znojdków obcierać, słuchać innej gospodyni.

— Kiedy Maryś potulna, cicha... — Ty głupcze! Nie słyszysz, co ludzie gadają? Tyś jest ślepy i głuchy! Kiedy ciebie nie ma, o, nawet teraz, to w twojej chałupie rozpusta, lajdactwo!

— Nie może być... — mruczy stary. Nacisnął kapelinder i poszedł. Ale nie do domu. Po drodze zahaczył o chałupę kuma. Popił księżycowy, poplakał i powłókił się do wsi.

Już jest blisko... A spod jego sadu umyka ta pijana śpiewka, okrzyki. Potem milknie wszystko. Stary wali mocno do drzwi. Marysia otwiera. Rozgniewana, dziwna...

— Co tu było, no, co?! — drze się Józef do córki.

— Nic, tato... Przychodzą pod dom tacy różni, z innych wsi, nawet nie znam... Sama jestem, nie odpędzę...

— Cyganisz, cholero! Już ja wiem, co tu się święci. Ale w moim domu nie będzie kurewskiego żłobka! Córka moja jedyna, Matko Święta! I co? Małoś se już dogodziła, dziwko, mało?! Wiesz się trzęsie po opłotki i strzechy, a ta nowe sztuki odstawia!

— To niech ojciec nie chła po chałupach, tylko pilnuje! Ojcu nie wstyd tego lajdactwa z Honorką!

Zamachnął się, chybił, potoczył na stół. Przeto ostrzej szarpnęła go nerwa. Wali w twarz, na odlew. Marysia uderza głową o poręcz krzesła, pada na podłogę. Czarne niebo w gwiazdach przez oczy...

A stary sline się nad łóżkiem. Klnie. Ciągnie z pościeli dziecko. Małe ciałko we śnie, przelewa się przez gruźlaste dłonie, marszczy się twarzyczka. — Winnys i niewinny — mruczy stary Józef — aleś przecie bękart. To bez ciebie wstyd przed wsią, zły pies w gębie Honory. Niepotrzebnyś tu...

I rwany pijącka chwiebją lezie do stodoły, i rzuca wnuczka w czarną jamę siennego zapola. A sam wraca do izby. Ale nie dochodzi. Wali się w łopiany pod ścianą stodoły. I śpi pod tą ciepłą,

JAN KOPROWSKI

Wiersz o dziadku

Za ostatnią górą i rzeką
za ostatnim lasem,
na samym końcu świata
żył mój dziadek Teofil.
Nieraz bywałem u niego:
w izbie, w której mieszkał,
w ogrodzie, który uprawiał,
na polu, które doglądał.

Dziadek miał długie wąsy,
kochał Tadeusza Kościuszkę
i narzekał na bóle w krzyżu.

Gdy przyszła wojna, nie potrafił
jej przeżyć.
Z wielkiej zgryzoty
w czerwcu roku 1940
pękło mu serce.

FELIKS RAJCAK

Fraszka krwawa

Nie może fruwać
poeta sfrustrowany
Stoi w okna framudze
na ostatnim piętrze swojej krwi

A jeśli szybom przetnie oczy
A jeśli —

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—



Rys. A. Blaha

rozgwieżdżoną czaszą sierpnia. Pies pchły nad nim wydrapuje, czasem liźnie przez twarz. Józef nie nie czuje.

W ciemnej izbie Marysia wychodzi z omdlenia. Po ścianie dochodzi do stołu. Potrąca zapalki. Zapala naftówkę. Sypie się przez izbę owsiarne światło. Potargana pościel, puste w niej...

— Dziecko, moje dziecko! — krzyczy. Bije pierśią w drzwi, biegnie na podwórko. Postrzeżę w łopianach śpiącego ojca. Szarpie jego włosy, kapotę, bije po twarzy. Ale tylko bełkot pijany...

— Coście, pijanico, zrobili! Obudźcie się! — krzyczy. Nagle zastęga.

Ze stodoły dolatuje cichy, stłumiony płacz. Marysia potyka się na klepisku o grabie, wczolguje się do zapola. Z zapachu łąki czerwcowej, kminku i mięty wyciąga Wojtusia. Tuli go do piersi. Caluje, zbiera z twarzy, włosów dziecka, sienne żdźbła.

Staje pośrodku podwórka. W syjącym się z podniebienia srebrnym pyłe tęższe jej twarz, ciemniej aż do smolistości oczy.

Wbiega szybko do izby. Drżącymi rękoma ubiera dziecko w ciepłe łaszki. Wyrzuca z szafy bluzki, sukienki, stary płaszcz po matce. Wiaże wszystko w tobolek. Pod prześcieradłem czerwieni się... To ten pieniądz wzięła za świnią, za cielę. Na ojcowe wesele... Ręka drży, palce błądzą po papierze, chwytają... Należy się jej...

Idzie przez podwórko. Omija ojca. Ucisza psa. Zatrzymuje się. — Żal mi ciebie, tato, ale sam żeś sobie winny. Będziesz miał tę Honoratę.

Przeszła sad. — Powinnam cię tu zostawić — mruczy do dziecka. — Bo gdyby nie ty, inaczej by było. Co ja teraz z tobą pocznę? Kto się tobą, synku, zaopiekuje, kiedy dziadziś rodzony wywalił do stodoły?

Nowy potraw na łące moczy nogi po kolana. Wyskoczą z tej łąki koniki polne, trzmielce. I zapachnie sienne do kosie. A w tej siennej woni dzieciństwo i młodość...

Ale nad nią, pod nią i w niej gniewne oczy, złe słowo od ludzi. Wchodzi Maria w ciemną, rozszepstaną głębię lasu.

— W tym lesie zaczynała się moja miłość — myśli z gorczycą.

Dukt się kończy. W niebokresie za osadą wielka luna nad miastem świeci trupim światłem. W rzekach ulic trudno znaleźć człowieka. Obcy ludzie się mijają, pędzą, zagubieni w dżungli domów, aut, tramwajów. Można zginąć w tej dżungli, w kurzu, dymie spalin, warokocie. Ale można też znaleźć swe miejsce...

— Pomyślą, że do inżynierka pobiegnę na skargę, że będę go szukać. Pomyślą się — szepce z uśmiechem. Odwraca się. Już las zakrył wieś ciemną ścianą szumiącą. Do tej luno droga daleka...

Idzie Maria przez naszą wieś. Wojtek poplakuje przy piersi. Koło sklepu rozjarzony robaczek świętojański nad rowem. Leci snopek światła, obmacuje dziewczynę i dziecko.

— Nic, nie strachaj się dziewczyno — mówi nocny Kacper, nasz stróż.

— Bo to światło wprost w oczy — mówi Marysia.

— Wcześniej idziesz. Daleko?

— Tam — wskazuje głową trupią pył nad miastem.

— Nie idziesz ty z dobrej woli po nocy — mruczy nocny Kacper. — Od ludzi odchodzisz, od domu. Słyszałem o tobie... Rozumiem... Odchodziłem i ja od miejsca urodzenia, bo to miejsce przeklęte. No, idź już, z Bogiem...

Tonie Maria i dziecko w syjącym się czarnym pierzem mroku.

A z koronnych sadów przez wartę okna sen splywa w puchowe pierzynny. Z tamtej strony lasu podobnie. Odchodzącym sypie w twarz poblask od miasta. Śpiacym śni się żytnie, owsiarne światło w peczniejących stodołach, siwy pył plewiany z jesiennej młoci.

Fragment większej całości.



JÓZEF DUK

Współczesna KASANDRA

Nowy tomik Ewy Lipskiej*, zatytułowany „Drugi wierszy” w pełni potwierdził indywidualne cechy poetki, z którymi mieliśmy okazję zapoznać się w debiutanckich „Wierszach”. Twórczość ta kształtuje się pod wpływem dwu dominujących, przeciwstawnych elementów ukrytych w świadomości autorki: uporczywego szukania wyjścia z życia i z czasu, w którym ono się rozwija oraz przeciwstawienia się temu, co przerywa życie — śmierci. Uwrażliwienie podmiotu lirycznego na sytuację człowieka uwikłanego w czasie, z którego nie można wyjść: / „Niech więc ciąg się zdarzy / dalszy — tego co już się na dobre zaczęło / czego oddać nie można a zatrzymać trudno” / („Ciąg dalszy”), „Nadal nie będzie można wyjść z życia / ani nie będzie można go obejść” / („Wolałabym”), przywodzi na myśl starą filozofię indyjską, dla której podstawowym problemem było uwolnienie człowieka od życia rozwijającego się

w czasie nie linearnym, ale kolistym, powtarzającym narodziny. O tym, iż idee te funkcjonują w umyśle autorki świadczy potraktowanie przez nią historii konstytuującej się na zasadzie jednorazowości heraklikańskiej jako kolistości: „A jedynie historia o kolistym kształcie / czuje się pewna siebie...” („Niepewność”) oraz dopuszczenie możliwości powtórzenia się czasu: „Miasta pełne na wzgórzach i puste w dolinach / od których trzeba będzie nowy czas zaczynać.” („Ciąg dalszy”).

Tej dążności do wyzwolenia z czasu i swojego życia przeczy, a może

dopełnia na zasadzie dialektycznego ukształtowania bytu psychicznego, dążność do zatrzymania życia biologicznego za wszelką cenę, wbrew potencjalnym możliwościom wojny. I ta druga właściwość silnie zaakcentowana jest w tomiku. Poetkę chwilami ogarnia tak całkowicie lęk przed samo i wszechnicestwieniem, że nie chroni jej już autoironiczna postawa i dystans sugerujący „oswojenie” z problemem. A więc w wierszu „O wojnie” zapominając na moment, że włącza się w chór rozpaczliwych szamoczących się wobec widma wojny, młodych poetów, proponuje ucieczkę: jednak-

że ani przestrzeń nie daje schronienia, ani czas — antyk napiętnowany również wojną. Dopiero tam gdzie Lipska zdobywa się na dowcip przechodzący w smutek, operuje aluzją zrozumiałą tylko dla współczesnych, wiersze uzyskują silniejszą funkcję ekspresyjną: „Podczas wojny coraz bardziej sprawnej / Podczas wojny coraz bardziej wytwornej / Kiedy wystarczy być w smokingu / by nacisnąć / guzik” („Nie fair”).

Ewa Lipska posiada predylekcję do łączenia w jednej płaszczyźnie dwu rzeczywistości: snu i jawy. Paralelnie do tych rzeczywistości istnieją dwie grupy ludzi, w których świadomości dominują albo sen u szaleńców, albo jawa — u zdrowych. Wpływ istot powstających tylko w wyobraźni sennym na istoty żywe, powodujący śmierć tych ostatnich, najsilniej zaznaczony jest w wierszu „Ruszą konie”. Wszystkie te stany irracjonalne, wypływające z głębin podświadomości ujęte są w ramy języka jasnego, precyzyjnego, wyjaśniającego, który stara się rozłożyć je na składniki pierwsze, oświetlić tajemnicę.

Większą uwagę poświęca poetka jednak człowiekowi zdrowemu, którego sytuację próbuje ustalić w świecie współczesnym. Wszystkie jego sprawy doczesne rozpatruje poprzez pryzmat śmierci, która odbiera im znaczenie, ciężar i ważność. Wskazuje na brak uzasadnienia, konieczności i motywacji dla jego czynów: „Można biec na pole walki tylko po to / aby biec” („Można”). Świat współczesny skazuje człowieka na monotonię i powolną śmierć, gdyż nie może w nim zrealizować swoich możliwości. Jedynie we śnie realizacja ta jest możliwa.

W wierszu „Zawracajmy”, jednym z najpiękniejszych tego tomiku, współczująca całej ludzkości autorka niby prorocza Kasandra widząc bezcelowość istnienia zdającego ku nicości nakazuje powrót przyszym pokoleniom. Pytamy, powrót dokąd? — z czasu do jakiegoś innego czasu, do innej przestrzeni, czy na inny tor i kierunek istnienia? Jedno jest pewne, Kasandra chce nas wyrwać z bezsensu i śmierci. Inna sprawa, że nie wie jak.

O tym, iż mistrzynią Lipskiej w zakresie formy wiersza jest Wisława Szymborska świadczy styl rzeczowy i precyzyjny, lakoniczność poetyckiego sformułowania, prostota i skrótość przekazywanych zdażeń. To, co J. Kwiatkowski nazwał i skrótością przekazywanych zdażeń, to, co J. Kwiatkowski nazwał w twórczości poetki „dowcipem” stawia tę twórczość w ramach stylu epoki, w którym dominują kategorie ironii i żartu zamiast patetyzmu i wielkich uczuć. Rozpowszechnionym chwytym artystycznym funkcjonującym dla powyższych celów jest postawienie obok siebie słów wytwarzających atmosferę wzniosłości, dostojności, czy chociażby powagi z lekkością słownictwa potocznego. „prozaiczności: „A barszcz za słonę. Morze za szerokie” („Stół rodzinny”), „Jestem winien ojczyźnie życie, a Frankowi 300 zł” („Stół rodzinny”). W tym ostatnim przykładzie wyrażenie „300 złotych” wyodrębnione poprzez umieszczenie w jednym wersie uzyskuje prawie tę samą rangę, co wyraz ojczyzna, ginący w długim kontekście.

* Ewa Lipska: DRUGI ZBIOR WIERZY, „Czytelnik” Warszawa 1970 rok, wyd. I ss. 65 + 3 nb.

1 TRIENNALE
TKANINY
PRZEMYSŁOWEJ
I UNIKATOWEJ
ŁÓDŹ — 1972



PREZENTUJEMY UCZESTNIKÓW:

STANISŁAW KOWALSKI ukończył Wydział Tkanin w Łódzkiej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w 1956 roku. Początkowo związany jest z uczelnią macierzystą jako pracownik dydaktyczny, obecnie zaś zajmuje się projektowaniem dla przemysłu włókienniczego. Samodzielna praca twórcza artysty związana jest wyłącznie z tkaniną. Jest on członkiem łódzkiej grupy ATE.

St. Kowalski przed wstąpieniem do grupy ATE znany był jako twórca doskonałych zakądkowych tkanin, a następnie autor wielobarwnych gobelinów, które można by połączyć w dwa cykle tematyczne. Pierwszy dotyczył fauny, drugi — kosmosu, który był przedstawiony na indywidualnej wystawie jako „Kosmos 66”. W trakcie przynależności do grupy ATE Stanisław Kowalski stworzył dwa monumentalne gobeliny: „Res prima” i „Res secunda”, z których pierwszy był wystawiony w Roku Olimpijskim w Meksyku, a drugi we Florencji i Tunezji w roku 1969. Ostatnio Kowalski podjął niezwykle interesujące próby tkania swych gobelinów wyłącznie w tonacji szarej, z tym, że są to szarości wielobarwne: niebieskawe, oliwkowe, różowawe, brązowe, białe i prawie czarne. Ten ostatni cykl doskonałych warsztatowo „szarych” gobelinów stanowi ważny krok w poszukiwaniach artystycznych Kowalskiego.

Stanisław Kowalski — „PSZCZOŁY” — gobelin.

Przeszłość i teraźniejszość

W naszej nauce historycznej przed kilkoma laty sporo dyskutowano o różnych koncepcjach federalistycznych, rozwijanych w międzywojennym dwudziestolecu zwłaszcza przez obóz pilsudczykowski. Nie uniknięto jednak wtedy choroby, która nadzwyczaj często nawiedza tych wszystkich, którzy usilnie starają się jak najbardziej ograniczyć poletko własnej naukowej obserwacji. Roztrząsając ogólniejsze implikacje tych federalistycznych pomysłów nie zastanawiano się wcale, że jeżeli, to zbyt mało, nad tym, o ile stanowią one kontynuację, o ile zaś za przeczenie dawniejszych koncepcji, rozwijanych w różnych nurtach polskiej myśli politycznej w okresie zaborów. Zagadnienie modelu przyszłego państwa polskiego, nie tylko jego podstaw społeczno-ustrojowych, lecz również terytorialnych, w porównaniu z zasięgiem

dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej, było przecież centralnym problemem naszego myślenia politycznego przez cały wiek dziewiętnasty i jako takie winno się doczekać poważnego, naukowego opracowania. Wówczas to myśli o Polsce w granicach z roku 1772 miałyby jednokrotnie zdecydowanie odmienną wymowę od tej, którą w międzywojennym dwudziestolecu nadawali im stronnicy określonej polityki w stosunku do pierwszego państwa socjalistycznego. Jak to już dawno obserwowal Ludwik Krzywicki, koncepcje wyrosłe na pewnym gruncie przeniesione na inny grunt, njejednokrotnie mogą pełnić funkcje diametralnie przeciwne pierwotnym. I tak jest w znacznej mierze z polskim federalizmem, który zrodził się w demokratycznym i postępowym nurcie naszej myśli politycznej w początkach XIX stulecia, zmarł zaś w... antytra-

dzieckiej polityce obozu sanacyjnego w wieku XX. Jeżeli nie będziemy spoglądali na ten krąg problemowy z szerszej historycznej perspektywy, nie zdołamy się skutecznie przeciwstawić naciskowi mitologii, w której idee i hasła największych przedstawicieli naszej dziewiętnastowiecznej demokracji są wykorzystywane jako

(1971) rozprawa Karola Grünberga „Polskie koncepcje federalistyczne 1864—1918” wprawdzie nie ogarnęła całości zagadnienia, skoro koncentruje się na okresie po powstaniu styczniowym i dawniejsze wcielenia polskiego federalizmu ujmuje tylko zarysowo, stanowi przeciw świadectwo badawczych ambicji w podejmowa-

szłego niepodległego państwa polskiego szczególną rolę odgrywały poglądy i opinie wyrażane nie tylko przez polityków i historyków. Pisarze poruszający w tej czy innej postaci problem dawnych i aktualnych stosunków Polski z Litwą, Ukrainą i Białorusią wzbudzali reminiscencje o mocarstwowej świetności przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Tymczasem zdawałoby się mogło, że nasza historiografia i historia literatury wyraźnie stroni od tych ważnych problemów i woli zajmować się innymi, znacznie mniej kontrowersyjnymi, często jednak także i mniej istotnymi zagadnieniami.

Książka K. Grünberga pobudza do zastanowienia się nad jedną jeszcze, istotną w tym przekonaniu sprawą. Ogromnemu rozwojowi badań nad dziejami gospodarczymi, ostatnio zaś w coraz większej mierze i społecznymi, znacznym osiągnięciom w innych dziedzinach historii, w tym również w zakresie tradycyjnej historiografii politycznej nie towarzyszy

wystarczające zainteresowanie dla dziejów polskiej myśli politycznej. Jest to szczególnie dotkliwie w odniesieniu do XIX i XX stuleci, bowiem jeżeli już coś interesującego się robi, odnosi się to zwykle do czasów dawniejszych, z wyrazną przewagą... średniowiecza. Z wojennych prac, dotyczących naszego myśliciela, uczonego i polityka z czasów Jagielly — Pawła Włodkowica — można by utworzyć niezłą biblioteczkę, która liczyłaby kilkakrotnie więcej tomów niż wszystko to, co napisano u nas w tym samym okresie o najistotniejszych nurtach polskiej myśli politycznej wieku XX. Dzisiaj, kiedy historycy gotują się do przyszłego zjazdu toruńskiego, planuje się, że odbędzie się wiele różnych kolokwium i sympozjów o wyspecjalizowanej tematyce, njejednokrotnie bardzo wąskiej, nie przewidzianych jednak niczego w odniesieniu do dziejów naszej myśli politycznej XIX i XX wieku.

O polskiej myśli federalistycznej

legitymacja dla wstecznych rojeń politycznych. Nie myślcie, że to problem wydumany. Niepisaną znowę milczeniem przerwano ostatnio nad sprawą wydawnictwa „Książka i Wiedza”. Opublikowana przez nie niedawno

niu problematyki trudnej i kontrowersyjnej. Powiedzmy zresztą od razu, że przy obecnym stanie badań bardzo trudno byłoby wiele z tych zagadnień ująć w sposób stwierdza autor, „w kształtowaniu wizji granic przy-

JÓZEF GRZELAK

PISARZ NAM BLISKI

Warto się zastanowić nad miejscem i pozycją Jerzego Szaniawskiego w naszym współczesnym życiu. Sprawa bynajmniej nie jest tak prosta, jakby się mogło wydawać. Każda premiera Szaniawskiego budzi głęboki odzew w szerokich rzeszach widzów. Książki jego są stale rozchwytywane. Krytyka się nim nieraz zajmowała i zajmuje. Ale mnożą się jeszcze nieporozumienia. Zdarzają się przeoczenia. Choć Szaniawski był od młodości urzeczony teatrem i tyle dla naszej sceny zrobił, trudno sprawować jego pisarstwo do samej tylko dramaturgii. Fakty temu przeczą. Gdy młody absolwent politechniki zurięskiej zaczął w 1912 roku literacką swą pracę, nie myślał na razie o scenie. W warszawskich prasie codziennej i w tygodnikach satyrycznych zamieszczał podpisane skromnie literkami, czy pseudonimami, uroczyste felietony i humoreski. Zapowiadały one pod niejednym względem późniejsze „Opowiadania profesora Tutki”, które powstały pod koniec życia Szaniawskiego.

Humor pomysłowy zupełnie świeży i dialog skracający dowcipem otworzył też młodemu autorowi bramy teatru. Ktoś napisał niedaw-

no, że pierwszą sztukę Szaniawskiego zagrano w 1917 roku, ponieważ Polska była wtedy odcięta od współczesnej dramaturgii francuskiej. To nieprawda. W tym samym roku i miesiącu, w którym odbył się sceniczny debiut Jerzego Szaniawskiego, zagrano w Warszawie nową sztukę młodego paryskiego autora Francois Croiseta. Grano też Fiersa i Callaveta, Curela, Donnaya, Feydeau, Courteline'a i wielu innych. Warszawa od Francji odciąć się nie dała. Zresztą u nas w tym czasie działał zastęp utalentowanych i wpływowych autorów. Jak Krzywoszewski, Grubiński, Kiedrzyński, Beylin. A pisali jeszcze tacy matadorzy, jak Zapolska, Perzyński, Rittner. Więc nie z powodu wytworzonej rzekomo pustki zagrano sztukę młodego pustelnika z Zegrzyna, jakim był Szaniawski. Szczególnie po przeniesieniu „Murzyna” do Krakowa, gdzie mu oddano pełną sprawiedliwość, jasnym się stało, że ten autor ma swój własny styl i własne oblicze, że zajmuje ważną pozycję w polskiej dramaturgii. Wyraźnie się przeciwstawiał i Młodej Polsce i pozostałościom naturalizmu.

Konstruktor precyzyjny, obdarzony śmiałą wyobraźnią, oryginalnym dowcipem, umysłowością ścisłą, Sza-

nawski poruszał nowe i nieoczekiwane problemy. Na dobrych kilka lat przed Pirandellem uczynił stosunek prawdy do kłamstwa, rzeczywistości do fikcji — tematem pasjonującej akcji scenicznej. W „Murzynie” (który zaskakuje śmiałością i świeżością), metoda absolutnie szcześciła, nie mogąc się wyzwolić spod nacisku spraw rzekomo ważnych, a w istocie — całkowicie błędnych i niepoważnych, które mu narzuca odcienie. W tomie nowel „Lgarze pod Złotą Kotwicą” ironia i żart sąsiadują z analizą psychologiczną, refleksją filozoficzną, a czasem nawet — z psychoanalizą.

Nowe zagadnienia życia zaprzęgał przenikliwym obserwatorem. W „Papierowym kochanku” toczy się walka niezakłamaną mowy młodych serc przeciw mglistemu frazesowi i wylartej pseudopoezji. W „Piaku” nie chodzi tylko o satyrę na mało-

mieszczan, ale i o walkę pokoleń: słychać w tej sztuce naddziękujący, miarowy krok młodości. W „Moście” nieuchronny postęp techniki wywołuje bolesne zapoznanie z usług starożytności, przewoźnika. W napisanej tuż przed wojną „Dziewczyńce z lasu” relikty dzikości i okrucieństwa dają o sobie znać, jakby w przecuciu późniejszych wydarzeń.

Z przenikliwym dążeniem do demaskowania pozorów łączy się sprawa etyczne. „Adwokat i róża” to próba odpowiedzi na pytanie, czy w pewnych okolicznościach, w imię prawdy, nie powinniśmy stanąć nawet w obronie tych, co krzyżują nasze własne dążenia. Słuchowisko „Zegarek” pokazuje człowieka głęboko skrzywdzonego, który (właśnie dlatego, że sam tak boleśnie przeżył doznana przez siebie niesprawiedliwość), nie jest zdolny do wymierzenia sobie pełnej sprawiedliwości cudzym kosztem. „Kowal, pieniądze i gwiazdy” ukazują nieodwracalność szkody, choćby mimowolnej.

Najnowsza twórczość naszego pisarza — to ukoronowanie jego myśli artystycznej. „Dwa teatry” mówią o owych najbardziej intymnych i podświadomych porывach, marzeniach i wizjach, z których się rodzą zarówno porывające namiętności, jak głęboka miłość. Gdy w radio genewskim próbowano tę sztukę przed kilku laty, w tłumaczeniu Jadwigi Kukulczanki, a w reżyserii Francois Simona, tamtejsi aktorzy nie chcieli wierzyć, że pisal ją niemłody już człowiek; tak bardzo im się wydawała bliska duchowi naszej niespokojnej i burzliwej epoki.

My także, czytając lub słuchając Jerzego Szaniawskiego wiemy, że nam jest blisko. Autor ten pozornie nie uczestniczył w dążeniach eksperymentalnej swej epoki, nie rozbił zasad konsekwencji i przyczynowości. Jednak praktycznie realizował hasło jednego z najmłodszych naszych nowatorów, profesora Leona Chwistka, by upodobnić teatr no-

woczesny do wrażeń człowieka, zwiadowca zupełnie mu nieznane, swą niecodziennością ośniewające, miasto. Inny awangardzista, Tadeusz Peiper, przenikliwie analizował sztuki takie, jak „Zeglarz” i „Dwa teatry”. Nie wolno też zapominać, że Szaniawski był pionierem i jednym z twórców polskiej dramaturgii radiowej, a „Zegarek” znajduje się w stałym repertuarze radia polskiego i zagranicznego. A i to także uderza, iż telewizja tak szybko przyswoiła sobie zarówno „Opowiadania profesora Tutki”, jak dramatyczne utwory tego autora, np. „Dwa teatry”, niedawno wystawione w inscenizacji Kazimierza Brauna.

Gdy jeden z uczonych recenzentów przedwojennych niczego nie umiał dostrzec w „Ewie”, gdy Szaniawskiego zwalczali niektórzy matadorzy krytyki, np. Pienkowski, młody muzykolog i pisarz francuski, Lucien Roquigny ujmował się za tym teatrem, zdolnym poruszyć także i paryskiego widza. „Dwa teatry” zdobyły ogromne powodzenie w Brnie i Leningradzie, w radio genewskim i paryskim. Aktorzy polscy, zawsze Szaniawskiemu bliscy, znajdowali i znajdują w jego sztukach znakomity materiał dla swej twórczości. Powołajmy się na przykłady Zeligowicza i Frenkla, Ostery i Jaracza, Adwentowicza i Brydzińskiego, Marii Dulęby i Stanisławy Wysockiej, Lomnickiego i Hołoubka, Szczepkowskiego i Wyrzykowskiego, Barczewskiej i Kucówny, Śląskiej i Matyjaszkiewicza, Gogolewskiego i Fijewskiego, Perzanowskiej i Jana Kreczmar, a także aktorów Łodzi, gdzie tyle dano ciekawych inscenizacji sztuk Szaniawskiego, za dyrekcji Adwentowicza i Dejzka.

Pisarz tak bardzo polski, jak dowiodły dzieje „Piaku”, „Zeglarza”, „Dwóch teatrow”, „Mostu”, jest zarazem uniwersalny, gdyż porusza zarówno nasze własne sprawy, jak i powszechne, ogólnoludzkie. „Opowiadania profesora Tutki” zostały przełożone nawet na język perski.

Dalszy ciąg ze str. 3

- A więc ręk do pracy nie zabraknie?
- W żadnym razie.
- W tej chwili jest niezła pogoda. Czy zaczęto już jakieś roboty?
- Oczywiście.

Przed tą rozmową, dopingowany ostro przez red. Stokowskiego, byłem na Zdrowiu cztery razy. Chciałem po prostu porozmawiać z ludźmi, którzy w imię miłości do miasta rozpoczęli pracę w parku. Byłem tam w niedzielę i w dni powszednie, i chyba nikt nie weźmie mi za złe, jeśli poinformuję odpowiednio czynnik, że akurat w czasie moich wędrówek nie udało mi się znaleźć odpowiednich rozmówców...

— Jedź do Ogrodu Botanicznego — usłyszałem.

No to pojechałem.

I od razu nabrałem wigoru. Zobaczyłem ruch. Ciągniki nawoziły na teren ogrodu cegły, drewno, jakieś płyty; ludzie w roboczych kombinazonach przycinali liście na drzewach, porządkowali zwirowane alejki.

— Pan pracuje społecznie? — zapytałem.

— Nie.

— A pani?

— Ja jestem na etacie.

ZDROWIE — WIZJA PRZYSZŁOŚCI

— Ale w ogóle prowadzi się tu jakieś roboty społeczne?

— My nie wiemy. Może pan spytać kierowniczkę.

Jej biuro mieści się w baraku. Poniwiam wobec tej młodej, energicznej kobiety, poprzednie pytanie.

— Tak, w jedną jedyną ostatnią niedzielę marca porządkowali tu trochę teren harcerze.

— A poza tym?

— Wie pan... Polegamy na własnych siłach.

— Ale wie pani, że Ogród Botaniczny stanie się jednym z obiektów Centralnego Parku Kultury?

— Oczywiście.

— Co pani na to?

— Bardzo się cieszę. Robimy wszystko, aby z naszej strony ten park wyglądał jak najładniej. — I w tym momencie kierowniczką zaczęła mi tłumaczyć, że te trzy wielkie usypiska, to przyszłe alpinaria, gdzie posadzi się rośliny górskie.

— Ale plany budowy tego alpinarium powstały chyba wcześniej?

— O, tak...

— Niezależnie od planów „parkowych”.

— Oczywiście.

— I ich budowa, choćby nikt wam nie pomógł, zostanie tak czy owak zakończona?

— Oczywiście.

— Lecz pomoc społeczna też by się przydała?

— To chyba jasne...

Rezultaty swoich parkowych zwiadów przedstawiłem w oglednej formie red. Strzepkowi.

Trochę się zachnął.

— Nie masz racji — powiedział. — Od kilkunastu dni nieprzerwanie pracuje na Zdrowiu stu uczniów z polskich szkół.

— Widocznie nie miałem szczęścia ich spotkać.

— Być może.

Nawalają moje reporterskie oczy.

Ale chcę, żebyśmy się dobrze zrozumieli: ja naprawdę wierzę w powodzenie wielkiego przedsięwzięcia. Czyż jednak z drugiej strony nie mam prawa poinformować Czytelników, że euforia pracy społecznej nie wybuchła jeszcze z pożądaną siłą? Sam ofiarny, sprawdzony w wielu bojach „Głos Robotniczy” nie przeistoczył Zdrowia w Park Kultury, choćby zakasał rękawy wszyscy łódzcy dziennikarze.

Najwyższa pora, aby, póki nie minie pierwszy, największy entuzjazm, ruszyli do boju społeczne brigady pracy.

Przecież z chwilą, kiedy wyłonią się pierwsze zarysy tej wielkiej, jakże pięknej inwestycji, społeczeństwo momentalnie da wiare planom i z całym poświęceniem przyłączy się do budowy.

POCZĄTEK JEST NAJWAŻNIEJSZY.

I właśnie dla tego POCZĄTKU zdecydowałem się wtrącić do mojego optymistycznego reportażu parę złościwości.

Na pewno lepiej będzie, jeśli parę osób znowu się wścieknie na Makowieckiego, przy jednoczesnym rozkreśnieniu związanej z parkiem pracy, niż by ci ludzie zaczęli mnie niezasłużenie chwalić, a robota stała w miejscu.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

BOGDAN GRZEŁOŃSKI

Z DZIEJÓW EMIGRACJI POLSKIEJ

Kłęska powstania listopadowego 1830—31 roku wypisała tysiącom Polaków pragnących zachować wolność osobistą i uniknąć represji z rąk zabórców — ciężki, czasami wręcz dramatyczny okres w biografii — okres tułaczki emigracyjnej.

Najczęściej losy rzucali o wody wychodźców, tułaczy pielgrzymów do Francji, rzadziej do Anglii, Belgii, Szwajcarii. Tylko niewielka część trafiła do Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Pierwszy uczestnik powstania listopadowego przybył na ziemię amerykańską

7 listopada 1831 roku. Był nim major Józef Hordyński. Ale, jak ukazały to najbliższe miesiące, niewielu powstańców poszło w jego ślady. W 1832 roku przybyło ich tylko 34, a w roku następnym zaledwie kilku. Byli żołnierze powstania osiedlali się przede wszystkim we Francji. Liczyli bowiem na rychły powrót z bronią w rękę do kraju. Stany Zjednoczone były dla nich nazbyt daleko. Dopiero w 1834 r. liczba powstańców — emigrantów w Stanach zwiększyła się. Wówczas to 28 marca, po 42 dniach podróży, przybyła do portu w Nowym Jorku na statkach „Gueriera” i „Hebe” grupa 234 Polaków. Byli to uczestnicy powstania listopadowego, którzy po klęsce schronili się do Galicji. Zrazu stanowisko władz austriackich w stosunku do nich było tolerancyjne, ale na początku 1833 roku, kiedy policja austriacka wpadła na trop spisków wymierzonych przeciw rządowi, zaczęły się aresztowania, głównie wśród oficerów. I właśnie ci aresztowani Polacy zostali przez rząd austriacki deportowani do Stanów Zjednoczonych. W latach 1834—36

szlakiem ich udało się jeszcze blisko 100 innych emigrantów. Wraz z przybyłymi z Francji i Anglii wychodźcami pod koniec 1836 roku stanowili oni około 400 osobową emigrację polską w Ameryce Północnej.

W 1834 roku, a więc wtedy gdy przybyło 70 proc. wychodźców w Stanach, podobnie jak na zachodzie Europy, minęła już „moda” na Polskę, znikł podziw dla „heroicznych” Polaków. Ówczesny prezydent Andrew Jackson zdecydowanie pragnął zachowania przyjaźielskich stosunków z carską Rosją. W końcu grudnia 1831 roku mówił w Kongresie: „Z cesarstwem rosyjskim nasze stosunki polityczne są najbardziej przyjazne, podobnie jak nasze stosunki handlowe są najbardziej liberalne”. Również większego zainteresowania nie przejawiało już wówczas społeczeństwo amerykańskie, zajęte głównie zdobywaniem Zachodu. Dlatego tylko w pierwszych dniach po dotarciu grupy Polaków ze statków „Gueriera” i „Hebe” stosunek Amerykanów był ciepły, a jedynie w bardzo wąskich kregach gorący. Toteż już na krótko

powstały Komitety Pomocy Polakom w Nowym Jorku, Bostonie, Filadelfii, Albany. Prasa zamieściła kilka życzliwych wzmianek. Popularnością cieszył się wybrany jeszcze na statkach Komitet Narodowy Polski — pierwsza organizacja polska na ziemi amerykańskiej. Ale po kilku tygodniach wszystko zaczęło się zmieniać, atmosfera zainteresowania słabnąć. Wpływy pieniężne do kas Komitetów Pomocy maleć. Z braku funduszy musiał właściwie zaprzestać, po niecałych trzech miesiącach, swojej działalności Komitet Narodowy. Po dwu latach wegetacji całkowicie się rozwiązał. Burmistrz Nowego Jorku mówił Polakom, iż „nie tylko Polacy, lecz każdy przybywający do Stanów ma prawo używać swobód wspólnych wszystkim mieszkańcom, a fundusze utrzymywania się, leżą we wszystkich rękodzielniach i kunsztach tego kraju, które dla każdego są otwarte”. Dla wygnanców polskich, a właściwie dla „ludzi bezdomnych” zaczęły się więc dni wypełnione przede wszystkim walką o chleb, o egzystencję, o trwanie wśród obcych. Na dalekiej ziemi

nie byli bowiem bohaterami romantycznymi. Podziw i entuzjazm dla nich pozostał tylko u nielicznych Amerykanów. Musieli dlatego liczyć li tylko na siebie, na swoje ręce i umysły by się jakoś „urządzić”.

Początkowo myśleli i próbowali nawet razem się osiedlić na roli. 9 kwietnia 1834 roku przedstawiciele Komitetu Narodowego wystosowali memoriał do Izby Reprezentantów w Kongresie. Pisali: „Pragniemy założyć w tych Stanach Zjednoczonych drugą Polskę, gdzie nasi rodacy, niepokonani jeszcze synowie niedoli, będą się mogli gromadzić i rozwijać”.

Kiedy jednak po trzech miesiącach staran Kongres uchwalił rezolucję — 30 czerwca, nadającą im grunta w stanie Illinois, to nie byli w stanie z niej skorzystać. Po prostu nie stało im pieniędzy ani na zagospodarowanie przyznanych terenów, ani na pokrycie kosztów przejazdu z Nowego Jorku do Illinois. Nadzieja na utworzenie „drugiej Polski” rozbiła się o twardą rzeczywistość, chociaż około siedemdziesięciu usiłowało dostać się do „ziemi obiecanej” najczęściej pieszo. Po-

Przed kilkunastu laty nikt by nie przypuszczał, że znane porzekadło „czuje się jak ryba w wodzie”, zdezaktualizuje się tak szybko. Dzisiaj, jeżeli w Polsce ryby gdzieś są, to czują się fatalnie. Niestety, jest to obraz coraz częstszy w polskich zbiornikach wody. Śnięte ryby to symbol niebezpieczeństwa, zagrażającego samemu człowiekowi i otaczającemu go środowisku przyrodniczemu. Zanieczyszczenie wód i ciągle postępujący tzw. deficyt wody w większości państw europejskich rośnie w zastraszającym tempie.

Do licznych problemów współczesnego świata doszedł jeszcze jeden cywilizacyjny „superstrach”. Jego rozmiary fachowcy starają się wyrazić liczbami i już to wystarczą do stwierdzenia, że jest to niebezpieczeństwo szczególne. Obecnie nasze rzeki i jeziora, które dostarczają 90 proc. wody, łapczywie „tykanej” przez przemysł, gospodarkę i rolnictwo, są nośnikami 8,2 mld m³ ścieków. Oznacza to, że na każdy m³ ścieków przypada 7 m³ wody, w której mają się one oczyszczać. W 1985 roku na każde 3 m³ naszych wód powierzchniowych przypadnie 1 m³ ścieków. Współczesny artystom, wyrażającym piękno i kolor naszych rzek lub szukającym nad nimi poetyckiego natchnienia.

Postępy industrializacji i wprowadzanie coraz to nowych technologii stanowią poważną groźbę dla wód, zwłaszcza śródlądowych, przede wszystkim w postaci zanieczyszczenia. Rzeki w państwach wysoko uprzemysłowionych uważa się często za rodzaj naturalnego transportera, służącego do wynoszenia różnego rodzaju odpadów i nieczystości pochodzenia przemysłowego i komunalnego.

Stopień nasycenia olejami np. rzeki Cuyahoga w Cleveland był tak duży, że latem 1969 roku stanęła ona w płomieniach, groźąc spalaniem dwóch mostów kolejowych.

Szczególnie duży udział w zanieczyszczeniach ma przemysł naftowy, chemiczny, celulozowo-papierniczy i metalurgiczny. Przyczyną zanieczyszczeń może być nawet... deszcz, zmywający z pól nawozy sztuczne i środki owadobójcze. Przedstawienie się do rzek, czy innych zbiorników wody szkodliwych substancji stwarza problem zanieczyszczenia dopiero wówczas, gdy ich koncentracja przeważa zdolność do samooczyszczenia się wód. Granica ta została przekroczona w większości rzek np. zachodniej Europy, a i my „nadrabiamy” szybko straty w stosunku do czółówki światowej. Zanieczyszczenia, w zależności od rodzaju, powodują określone szkody. Pozbawia się ludność zdrowej wody do picia i uniemożliwia rekreację, niszczy się życie biologiczne, naraża się na wielokrotne szkody rolnictwo i przemysł. Wzrasta zachorowalność zwierząt, w przemyśle zwiększają się korozje i zużycie szeregu urządzeń, a wręcz stają się niemożliwe pewne procesy technologiczne.

Jakie były przyczyny, że nie umieliśmy w porę wyciągnąć wniosków z doświadczeń rozwoju krajów wysoko uprzemysłowionych? Jesteśmy przecież krajem o tzw. deficycie wody w ogóle. Czym więc tłumaczyć opóźnienia w dziedzinie gospodarki wodnej?

Wydaje się, że zwiłdła tu pozorna obfitość wody w Polsce. Taki sąd mógł wydać każdy, oglądając na filmie czy zdjęciach np. coroczną powódź na Podkarpaciu lub słuchając komunikatów powodziowych. Jest to pogląd mylny, gdyż cechą charakterystyczną naszego położenia geograficznego i klimatu są długie stany wody niskiej w rzekach i nieszczęsne duże fale powodziowe (z reguły dwa razy w roku).

Po wojnie powstało szereg nowoczesnych koncepcji kompleksowego rozwiązania problemów gospodarki wodnej. Straty powodziowe (aczkolwiek ogromne) nie wydawały się takie straszne w porównaniu z sumą niezbędną do realizacji tych projektów. Tym bardziej, że straty pokrywa-

BOGUSŁAW KUKUĆ

Płonąca rzeka

ły różne resorty, a kraj miał pilniejsze potrzeby. Trzeba było także wyobrazić, by dostrzec problem czystości wód. Koszty inwestycji przemysłowych wzrastały nie raz wielokrotnie przy zastosowaniu urządzeń oczyszczających, stąd niechęć do instalowania takich aparatów.

Zachód zaczął płacić wysoką cenę za ruinę środowiska biologicznego i dławil

się odpadami przemysłu. Uderzono wówczas i u nas na alarm, tym bardziej, że zanieczyszczenia naszych rzek przekroczyły dopuszczalną granicę.

Zaatakowano brak przepisów, lub bardzo liberalne posługiwanie się obowiązującymi przepisami, szczególnie w kwestiach karnej odpowiedzialności winnych zanieczyszczenia wód. W odczuciu społecznym kary wymierzone przedsiębiorstwom zanieczyszczającym rzeki też nie były wysoko ocenione. Tworzył się przecież swoisty obieg państwowych pieniędzy z konta jednego przedsiębiorstwa na konto innej instytucji, bez wpływu na postępujący proces niszczenia. Istniał przecież przepis, który brzmiał: „ukarany zakład obowiązany jest ustalić osobę sprawcy zanieczyszczenia wody i dochodzić od niej wg obowiązujących przepisów zwrotu szkody wyrządzonej z jej winy zakładowi”.

Kto jednak jest tym sprawcą? Dyrektor zakładu twierdził, że nie on zakład budował i nie on decydował o profilu produkcji (i ma rację). Budowniczy uważa, że wykonywał roboty budowlane zgodnie z dokumentacją (i ma rację). Ktoś, kto wpadł na pomysł ulokowania zakładu właśnie w tym miejscu, powołał się na potrzeby industrializacji tej części zacofanego regionu, na zapotrzebowanie społeczne na zakład przemysłowy (i ma rację).

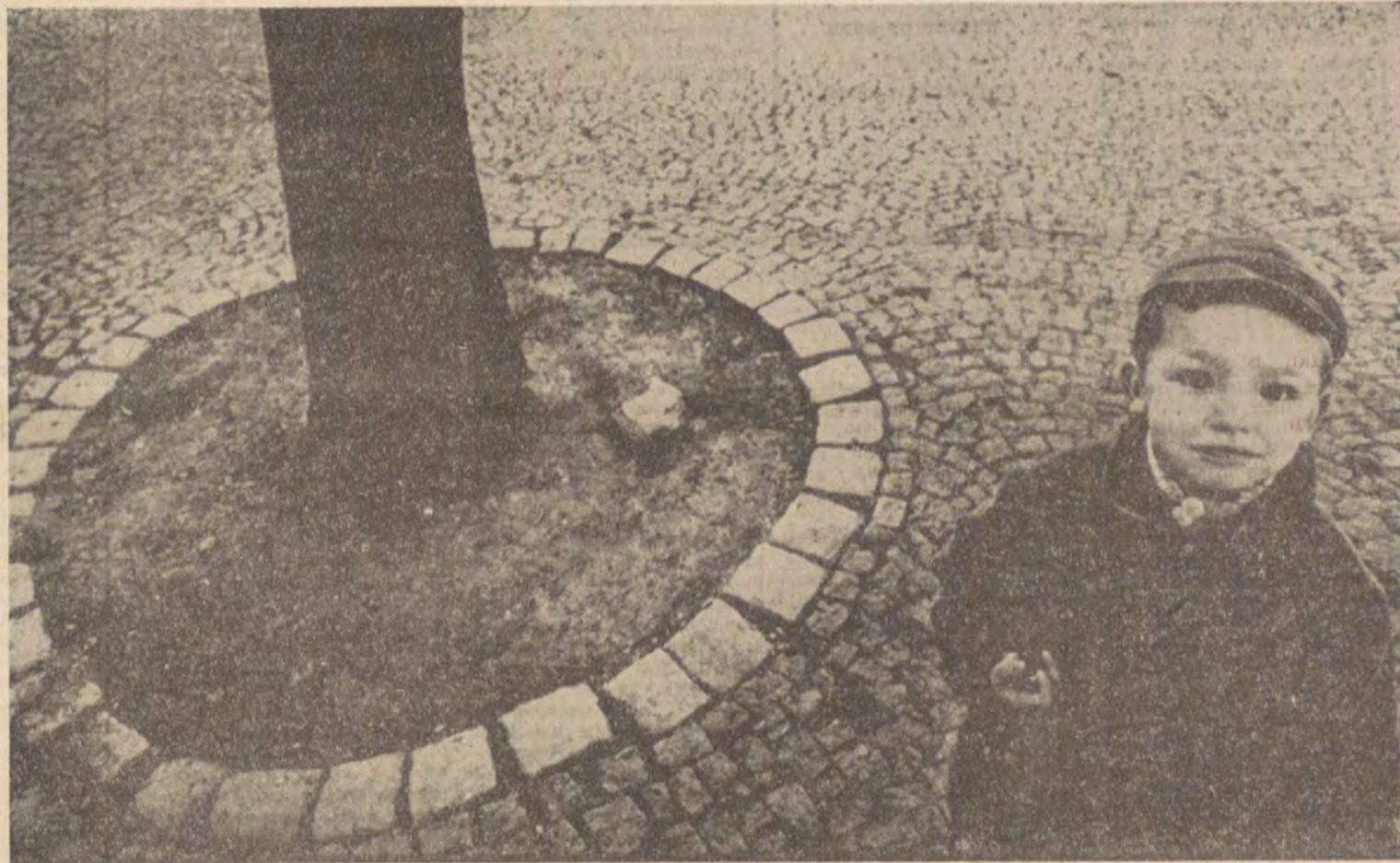
Wydaje się, że nie tędy wiedzie droga. Punktem wyjścia regulacji tych spraw środkami prawnymi jest stwierdzenie, że cała społeczno-gospodarcza problematyka ochrony wód powstaje na tle gospodarki narodowej, która jest gospodarką planową. Niezbędne jest więc włączenie problematyki ochrony wód do systemu gospodarki planowej i traktowania spraw ochrony wód równorzędnie z zadaniami produkcji.

Jak wykazał powyższy przykład przepisy o ochronie oddziałują znacznie słabiej, niż przepisy, które zaliczymy do systemu prawnego socjalistycznej gospodarki planowej. Przepisów karnych nie można odrzucać całkowicie, ale nie należy się spodziewać, że w oderwaniu od systemu prawnego gospodarki planowej, spełnią swoje zadanie.

Prócz takiego ujęcia „wodnych” spraw ze strony prawnej, warunkiem uzyskania efektów w walce z zanieczyszczeniem wód śródlądowych jest ich skoordynowanie. Myślę tutaj w szczególności o koordynacji badań naukowych, polską myśl techniczną w walce z zanieczyszczeniami wód jest w światowej czołówce. Czy nie czas do zgrupowania grona najwybitniejszych jej przedstawicieli w jednej wyższej uczelni i stworzenie im warunków do badań zarówno nad przyszłym zapotrzebowaniem kraju w wodę, ograniczeniem zanieczyszczeń, jak i opracowaniem optymalnych koncepcji gospodarowania zasobami wodnymi, ograniczenia ciągle wzrastającego zapotrzebowania w wodę poprzez tworzenie np. „suchych” technologii produkcji, zamkniętych obiegów wód w przemyśle itp. Nie wyobrażam sobie tych poczynań bez ścisłej współpracy z przemysłem i szybkiego przechodzenia od eksperymentu do wdrażania w życie.

Wydaje się, że istnieje obecnie klimat do potraktowania spraw ochrony wód jako priorytetowych. Dążąc do skracania cykli inwestycyjnych powinniśmy ten problem mieć szczególnie na uwadze. Jeżeli go pominiemy, będzie to spojrzenie krótkowidza, grożące nieodwracalnymi konsekwencjami dla naszego bytu i przyszłych pokoleń.

W realizacji tych trudnych zadań pomoże z pewnością całe społeczeństwo. Wiodącym tego dowodem jest masowe powstawanie w większych zakładach pracy społecznych komitetów ochrony czystości wody.



zostali zaczęli szukać jakichkolwiek możliwości zarobkowania bądź w Nowym Jorku, bądź też w najbliższych miastach, jak Boston, Filadelfia, Waszyngton. Nie liczeni tylko udawali się na daleki Zachód, głównie do Kalifornii.

Większość z nich zrazu, niezależnie od posiadanego wykształcenia czy rang oficera, a z braku znajomości języka, podejmowała prace fizyczne. Barwnie, ale jakże gorzko pisał o tym jeden z emigrantów: „Obok najwyższej rozpaczliwej śmiać mi się chce, gdy wspomnę na Olszańskiego, którego te służące domu, te negry rozrywają, ten mu każe buty chędożyć, a tamten urynał wynosić, lub widzieli starego Morawskiego wywożącego gruz na ulice i potem w te taczki, kiedy mu dzieci nadają, albo Komara dźwigającego ogromną rurę przez miasto, a za nim kilkunastu chłopców krzyżących: Pol! Pol! Purowski robił najpospolitsze roboty w domu i stajni, a opasły Fakutowicz kopiąc rów u burmistrza miasta tego na kolonii, tak ugrzązł w bagnie, że go ledwie sznurami wydobyli. Ja dostałem miejsce w garbarni”.

Kilkunastu nie mogąc znaleźć pracy, a nie chcąc „zhańbić” się nieprzyzwoitą robotą zaciągnęło się do wojska i to w stopniu żołnierzy. Przydzielono ich do pilnowania granic w nowo utworzonych stanach i terytoriach. Niektórych włączono do oddziałów biorących udział w wojnie z Indianami szczepu Seminola na Florydzie w latach 1835—42.

Dla nielicznych tylko tułaczy los był laskawszy. „Wyszyński Eustachy z talentem i płatny jest od sztuki — za odrysowanie krakusa ołówkiem dostał 20 dolarów”, „Kurek Adam ma talent muzyczny, zarabia w operze włoskiej, a za kompozycję kilku sztuk dokorobrze bardzo został wynagrodzony”, „Plinta Karol ożenił się bardzo dobrze, utrzymuje pensjonat”. Oto jak pisał o swoich kolegach Julian Jużwikiewicz, który sam „zatrudnił się jako drwal”.

Wychodźcy, którzy szybko opanowali język angielski znaleźli pracę w prywatnych szkołach w charakterze nauczycieli, „dawali francuski lub łacinę”. A jeden z nich, jak mówiło ogłoszenie w wychodzącym w Buffalo „Daily Commer-

cial Advertiser” z października 1835 roku „zamierza ofiarować panom i paniom naszego miasta swe usługi jako nauczyciel tańca i walców. Mając doskonałą znajomość tych tańców, walców, kotylionów etc., które są najmodniejsze w towarzystwach europejskich i amerykańskich spodziewa się, że potrafi w zupełności odpowiedzieć swemu zadaniu”. Dodajmy jeszcze, że autor ogłoszenia był oficer Antoni Węgierski, zawiadamiał, iż będzie uczył m. in. krakowiaka i ponadto szermierki francuskiej i polskiej.

W sumie jednak po blisko dwu latach pobytu na ziemi amerykańskiej emigranci „mieli tylko tyle, ile to jest konieczne do wyżycia”, jak donosił Julianowi U. Niemcewiczowi szczerzy przyjaciel Polaków i sprawy polskiej Albert Gallatin. A co oznaczały jego słowa, najlepiej mówi o tym fakt, że w 1837 roku nie mieli oni pieniędzy na wynajęcie sali, by zorganizować obchód siódmej rocznicy wybuchu powstania 1830 roku.

I dopiero po 1840 roku prawie wszyscy wychodźcy „urządzili się”. W zdecydowanej większości nie chcieli już wracać do Europy,

czy nawet do kraju. Wtedy też część z nich zaczęła się uaktywniać politycznie. Ale ożywienie to w głównym stopniu związane było z przyjazdem do Stanów wielu wychodźców, i to wyrobionych organizacyjnie, oraz dobrze orientujących się w owych „potępięcych swarach” rodaków w Europie. Wśród nich znaleźli się dwaj działacze dużego formatu: Kacper Tochman (1797—1880), prawnik z wykształcenia, awansowany w powstaniu do stopnia majora, we Francji pozostający w kręgu księcia Adama Czartoryskiego oraz Henryk Korwin-Kałużowski (1806—1894), powstaniec litewski, bliski wielkiemu „samotnikowi brukselskiemu”, Joachimowi Lelewelowi.

I oni to przede wszystkim starali się ożywić starych towarzyszy walki, przypomnieć im o tym, że imię Polaki winno być wypisane na wszystkich kontynentach. Tak więc Tochman zorganizował akcję odczytową o sprawie polskiej w wielu miastach. Ciągnął ją blisko cztery lata 1840—44 wygłaszając ponad 80 odczytów i wydobywając od szeregu legislatur stanowych, poli-

tyków, intelektualistów rezolucje potępiające wymazanie Polski z mapy Europy. W 1846 roku powołał do życia Polish Slavonian Literary Association popularyzując wiedzę o kulturze narodów słowiańskich. Z kolei Kałużowski przyczynił się przede wszystkim do powstania w 1842 roku Stowarzyszenia Polaków w Ameryce, którego hasłem było „braterstwo, postęp, wolność — przez Polskę dla całej ludzkości” i do założenia Towarzystwa Demokratycznego Wygnańców Polaków w 1852 roku mającego w programie walkę o odbudowę Polski na demokratycznych zasadach.

Ale w praktyce wszystkie te trzy organizacje miały nader krótki żywot, a działalność ich była bardzo skromna. Polish Slavonian Literary Association nie przetrwało nawet roku, a prawdopodobnie odbyło tylko jedno zebranie, organizacyjne. Dwa pozostałe natomiast ograniczyły się li tylko do ideowych, deklaracyjnych wystąpień i po niecałkowicie dwu latach skromnego funkcjonowania, już tylko wegetowały. Usilne zabiegi Kałużowskiego i Tochmana, oraz tych którzy znaleźli

się wokół nich ukazały, że po 1840 roku przeważająca część emigracji polskiej w Stanach obojętna była wobec sprawy polskiej i że właśnie na tym gruncie emigracja z rodowodu wielka, par excellence polityczna, najszybciej zaczęła się przekształcać w zarobkową. Pragnąc zatem ocenić działalność tej emigracji z lat 1831—1863, należy stwierdzić, iż w ostatecznym rachunku wniosła ona dużo większy wkład do amerykańskiej gospodarki, oświaty, nauki i kultury, niż do sprawy odzyskania niepodległości Polski.

Przeto miał rację wypróbowany przyjaciel Polaków w Ameryce, wielce zasłużony działacz Komitetów Pomocy, Samuel G. Howe, kiedy w 1833 roku powiedział, że emigracja polityczna do Stanów Zjednoczonych winna być „ostatnią z myśli, jakie Polak mieć powinien. Ameryka jest straconą nadzieją Polski”.

* Fragment ze szkiców „Polacy w wojnie secesyjnej”, które ukazały się nakładem MON.

LISTY do REDAKCJI

SZANOWNY

PANIE REDAKTORZE!

Czytając ostatni Pana felieton pt. „O usługach i o młodzieży” (Lewym okiem) poczułem się nieco dotknięty jako przedstawiciel tych, których przedstawił Pan w niezbyt pochlebnym świetle.

Choć jestem, jak już się rzekło, przedstawicielem młodych, nie narzekam na brak uśmiechu czy radości, przeciwnie — wydaje mi się, że posładam ich tak wiele, że mógłbym się z niejednym podzielić, choć z drugiej strony nie brakuje mi też trosk, ani smutków. Co więcej, moi koledzy i koleżanki też wbrew temu, co Pan pisze, nie są „znudzeni i smutni”, ani też z nadmiaru tej nudy i smutku „nie sięgają po narkotyki”. Wydaje mi się, że tamta część młodzieży należy do skrajnej mniejszości. Nie sięgając do statystyk twierdząc, że młodzieży uczącej się, studiującej, pracującej, pełnej twórczego zapału, racjonalnej i rzetelnej pracy jest więcej, że ci, o których Pan pisze, to taki sam margines społeczny, jak i ci, którzy lata od czterdziestki do sześćdziesiątki przepędzili na

przeróżnych mniej lub bardziej intratnych procedurach.

Proszę pytać nas wszystkich, czy rzeczywiście nigdy i z niczego się nie cieszymy, czy nowe buty, modny piaszcz i spodnie nikomu z nas nie dostarczają radości. A swoją drogą, skąd nagle „co druga nastolatka ma takie buty” (chodzi o te do biodra). Ja osobiście widziałem w takich co najwyżej kilkanaście, a u swoich znajomych ani jednej pary.

„Młodzież staje się odrębną mniejszością narodową o odrębnych tradycjach, języku”... Aż strach pomyśleć, co będzie, gdy tacy staną za sterami swych własnych, odpowiedzialnych przecież, warsztatów pracy — prawda? A przecież co roku, kilkadziesiąt tysięcy spośród nas zasila szeregi ludzi pracy i zaczyna partycypować w tym, czym żyjemy wszyscy. Czy zatem stają się nagle inni?

Panie Redaktorze, wystarczy tylko wstąpić do „Pod kuflem”, by zobaczyć, że nie ma „wiekowych” różnic. Wszyscy są na ty i wszyscy cezą swoje piwko, które nieopatrznie chciał Pan dać tylko młodzieży do wypicia.

A swoją drogą współczuję maturzystom z liceum im. Marii Konopnickiej, byłem na kilku studniówkach i na każdej bawilem się doskonale, a na swojej... moja studniówka to była „bomba”.

Z poważaniem

KRZYSZTOF EGER

student

Politechniki Łódzkiej

Interesująca wystawa

W Łódzkim Domu Kultury zorganizowana została jubileuszowa wystawa Klubu Plastyków-Amatorów. Klub ten obchodzi 10-lecie swej działalności, a przystać trzeba, że te dziesięć lat wypełnia działalność niezwykle aktywna, owocna, mająca swój sprawdzian w realiach, a nie tylko — jak to często bywa w tego rodzaju wypadkach, w sprawozdaniach i statystykach. I fakt ten trzeba zapisać na plus zarówno organizatorom jak i opiekunom Klubu, jak również jego członkom, których liczba w tej chwili przekroczyła 200 osób. Jak dalece Klub zyskał sobie popularność świadczyć może chociażby to, że młodzież tłumnie przychodzi na zajęcia, chcąc w Klubie właśnie zdobyć podstawowe wiadomości z dziedziny rysunku i malarstwa przed przystąpieniem do egzaminu do wyższych szkół artystycznych. Klub Plastyków-Amatorów może być tylko dumny z takiego stanu rzeczy. Inną jest sprawa dlaczego młodzież szukać musi porady fachowej tu właśnie, a nie w łódzkiej PWSSP. Bo po

prostu władze uczelni jak dotąd nie pomyślały o jakichś wstępnych, przygotowawczo-selekcyjnych konsultacjach dla kandydatów na studia.

Wystawa Klubu Plastyków-Amatorów jest interesująca z wielu względów. Przede wszystkim jako przykład rozsądnego i umiejętnego prowadzenia zajęć z amatorami, to znaczy z ludźmi, którzy w wolnych chwilach zajmują się sztuką. Dla których rzeźba i malarstwo jest rozrywką, relaksem, dopełnieniem, zubożeniem swojego życia o te nieograniczone rejony, do których zaprowadzić ich może jedynie ich własna wyobraźnia. Łódzki malarz, Ryszard Hunger, który prowadzi zajęcia w Klubie udziela fachowych rad i wskazówek, nie narzuca niczego, pozostawia całkowitą swobodę tworzącym, starając się wydobyc jedynie indywidualne predyspozycje poszczególnych malarzy czy rzeźbiarzy. Jest to postępowanie słuszne i jak pokazuje wystawa — owocne.

A. G.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Blżej u nas nieznanym reżyser Susumu Haniu („Pełnia, życia”) uchodzi za jednego z najwybitniejszych młodych twórców japońskiego kina, w Europie zdobywał nagrody na festiwalach filmów dokumentalnych, jako fabularzysta uzyskał w roku 1964 za swój film „ONA I ON” główną nagrodę na festiwalu filmowym w Berlinie Zachodnim. Doskonale, jak wiecie niesie, dokumentalista obecnie realizuje wysoko oceniane filmy fabularne, zwracając uwagę ciągłym poszukiwaniem możliwości wypowiedzi artystycznej w różnych konwencjach gatunkowych. Jeden z pierwszych filmów fabularnych Haniego „Ona i on” posiada niewątpliwie cechy dzieła, na którego kształcie odcisnęły ślady dokumentalne pasje reżysera. Film, będąc dramatem psychologicznym, jest jednocześnie swolista kroniką socjologiczną, rejestrującą pewne procesy społeczno-obyczajowe, znamienne dla współczesnej Japonii. Suchoj konstatacji socjologicznej zdołał jednakowoż Haniu uniknąć, podejmując próbę psychologicznej analizy problemu, który w filmie jego wysuwa się na plan pierwszy — postępującego procesu ozięblania stosunków międzyludzkich, zjawisk standaryzacji życia, pozostających w ścisłym związku z tym, co zwykliśmy nazywać „mieszcaniem”.

Znajdujemy w filmie obraz życia mieszkańców nowych i nowoczesnych tokijskich osiedli, obraz ich dnia powszedniego widziany oczyma bohaterki filmu Naoko. Ona jedna wśród wielu reaguje jeszcze na kontrasty życia tych, którym dane jest żyć w pięknych domach i tych, których skrajna nędza trzyma w barakach sąsiadujących z nowoczesnym osiedlem. Naoko również zdaje sobie sprawę, iż jej ustabilizowane, spokojne życie jest o wiele uboższe od życia biedaków, zamieszkujących widoczne z okna baraki. Jej wyspa szczęśliwości jest właściwie bezludziem, dlatego Naoko ciągnie ku tym, wśród których znajduje uczucia bezinteresowne, swobodę fantazji i poczucie godności własnej. Bunt Naoko spowodowany

filmem samurajskim. Jego konwencje i rekompensaty płynące z walorów plastycznych kupiły już europejskiego widza. Temat współczesny w japońskim filmie zastawia jeszcze pułapki, które nie zawsze udaje nam się przeskoczyć.

* * *

Nie zawsze najszlachetniejszy zamysł i najlepsze intencje tworcy idą w parze z sukcesem, ta prawda, stara jak świat sztuki musi się przypomnieć przy filmie Vladimira Cecha „W CIENIU GILOTYNY”. Zrealizowany na 50-lecie Komunistycznej Partii Czechosłowacji, przedstawia ostatnie dni życia Jana Zika, jednego z przywódców czeskiego ruchu oporu podczas II wojny światowej. Zik aresztowany w kilka dni po zamachu na hitlerowskiego protektora Czech i Moraw, Heydricha, poddany straszliwym torturom, zmarł, nie wydawszy nikogo. Osłą dramaturgią filmu jest walka między torturowanym Zikiem a szefem gestapo, Friedrichem. Autorzy wypełniają film również wspomnieniami Zika, pragnąc w ten sposób stworzyć pełną opowieść o jednostkowym ludz-

kim losie, odtwarzają także duszną atmosferę okupowanej Pragi i szalejący nazistowski terror.

Piękna, bohaterka postać Zika, tragiczny autentyzm faktów historycznych nie idą jednakże w filmie Cecha w parze z wymaganiami, jakie stawiać musimy dziełu filmowemu. Prawda historyczna przekroczyła możliwości twórcze jej rekonstruktorów. Niejednokrotnie mieliśmy okazję przekonać się, że surowość historycznej rekonstrukcji, jej dyscyplina, przemawia w filmie silniej, aniżeli niby-artystyczne jej przetworzenie. Realizatorzy filmu „W cieniu gilotyny” zgrzeszyli fałszywym monumentalizmem, fatalnie kontrastowanym z banalnymi często obrazami wspomnień bohatera, natrętną symboliką, a także po prostu nadużyli praw w operowaniu okrucieństwem i szokiem obrazowym. Nie wolno chyba pozwalać sobie na takie sceny, jak owo straszliwe spądanie gilotyny, osłaga się bowiem efekt daleki od zamierzeń. W filmie „W cieniu gilotyny” bronii się bohater i historia, realizatorzy zaś sukcesu nie odnoszą.

EWA NURCZYŃSKA



OBIEKTYW

„WIKTORYNA” CZYLI TRZY WARSTWY CZASU

Redakcja Filmowa przedstawiła nam nową premierę miesiąca. Był nią film telewizyjny „Wiktoryna” (reżyseria — Jan Rutkiewicz; zdjęcia — Mieczysław Lewandowski; emisja — 3. V. 1972 r.).

Film Rutkiewicza reprezentuje ten gatunek, na który zapotrzebowanie telewizji jest wielkie. Powiedziałbym nawet: nieograniczone. Właśnie o takie filmy telewizyjne chodzi, o stosunkowo prostej fabule, bezpretensjonalne, tradycyjne w formie. Ich przeciwieństwem był chyba nadany przed paru tygodniami (12. IV.) film Konstantego Cieliszewi „Pa-trząc pod słońce”, manierezny i pusty w środku.

„Wiktoryna” powstała w oparciu o opowiadanie Balzaka „Czerwona oberza”. Jest więc opowieścią kostiumową z czasów monarchii lipcowej, gdy żywe są jeszcze wspomnienia epoki napoleońskiej. W przeciwieństwie do ustabilizowanej dla bogacącego się mieszczaństwa rzeczywistości lat trzydziestych XIX wieku czasy kampanii i zwycięstw wielkiego cesarza stanowią źródło silnych przeżyć i przygód.

Film Rutkiewicza zbudowany jest jednak w trzech planach czasowych. Jest to jakby pudełko, w nim drugie mniejsze, a w nim trzecie — najmniejsze. Nie jest to struktura narracyjna specjalnie skomplikowana. W każdej warstwie czasu znajduje się określona część anegdoty.

Czasów napoleońskich sięga historia tajemniczego zamordowania bankiera i rabunku wielkiego majątku. Tę fazę rozwoju fabuły zamyka rozstrzelanie z wyroku sądu woj-skowego młodego chirurga wojskowego, jako rzekomego sprawcy mordu.

Kolejnym chronologicznie etapem fabularnym jest uroczysty obiad, jakim mniej więcej w trzydziści lat później podejmowany jest w małym miasteczku francuskim podróżnik niemiecki Hermann, przypadkowy świadek owych omówionych wyżej krwawych wydarzeń. Podczas obiadu gość opowiada tę historię sprzed lat, co wywołuje nagłe zaślabnięcie zasiadającego przy stole starego i bogatego lekarza. Przy tej okazji bohater filmu Piotr poznaje córkę lekarza Wiktorynę i jest nią olśniony.

Następuje okres coraz silniejszego zainteresowania się Piotra Wiktoryną i jednoczesnego odkrywania przez niego tajemnicy jej ojca. Nie ulega wątpliwości, że to on zabił bankiera i wzbogacił się jego majątkiem, a za zbrodnię tę zapłacił życiem człowiek niewinny — jego przyjaciel. Wreszcie trzecia warstwa czasu. Ojciec Wiktoryny zmarł w międzyczasie, a Piotr targany jest wątpliwościami. Czy ma się ożenić z Wiktoryną, którą kocha, ale której wiano uważa za ponurę i krwawe dziedzictwo? Dla rozstrzygnięcia swego dylematu zaprasza czterech przyjaciół, którym opowiada całą historię, a następnie prosi ich o głosowanie przy pomocy kul bilardowych: biała kula oznacza głos za małżeństwem, czerwona — przeciw.

Wynik tajnego głosowania odpowiada złożoności problemu moralnego. W zamkniętej szkatułce odnajduje Piotr dwie białe kule i dwie czerwone. Przyjaciele nie zwolnili go z obowiązku rozwiązania sprawy samemu.

Ta trzecia warstwa czasowa stanowi jakby ramę, oprawę całej fabuły. Od niej zaczyna się seria opowiadań i na niej kończy. W czasie filmu poszczególne fazy zachodzą na siebie, jedna narracja przerywa drugą, ale ta हुआwka w czasie nie utrudnia odbioru. Widz jest w stanie uporządkować sobie chronologicznie bieg wydarzeń.

Zabiegi dramaturgiczne Rutkiewicza służą wywołaniu atmosfery wieczornych opowiadań przy kominku w dawnych czasach. Wówczas opowiadania te snuli przed młodzieżą ludzie starzy, o bogatym doświadczeniu życiowym. Dziś zastąpić ich może skutecznie telewizor. Powtarzam więc, że tonacja i metoda narracyjna przyjęta w „Wikto-rynie” jest chyba dla filmu telewizyjnego bardzo właściwa.

Tylko tytuł jest raczej mylący. Czyż istotnie o Wiktorynę tu chodzi, czy też o sprawy dużo większej wagi? Pytanie retoryczne nie wymaga odpowiedzi.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

spektakle tygodnia

od 24 do 30. IV. 1972 r.

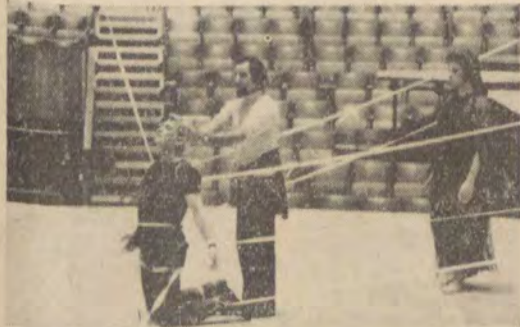
TEATRY	proc.		
	Ilość spektakli	Liczba widzów	
WIELKI			
„Zemsta nietoperza”	1	1230	100
„Henryk VI na łowach”	1	1260	100
„Madame Butterfly”	1	1260	100
„Człowiek z La Manczy”	1	1260	100
„Alda”	1	1250	100
NOWY			
„Zołnierz i bohater”	4	2800	100
„Opowieści Lasku Wiedeńskiego”	1	700	100
NOWY — MAŁA SALA			
„Kocioł”	5	1000	100
„Urodziny”	1	200	100
POWSZECHNY			
„Perla”	6	3960	100
„Król Lear”	4	2640	100
„Boso, ale w ostrogach”	1	660	100
JARACZA			
„Mirandolina”	4	1687	82
„Szklanka wody”	3	1607	100
„Kartofel”	2	1092	100
„W pustyni i w puszczy”	2	1089	100
„Tajemniczy ogród”	1	384	75
7.15			
„Trędowata”	4	1668	100
„Leżerni”	2	615	74
OPERETKA			
„Diabeł nie śpi”	7	7798	100

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

„COCTEAU I TANIEC”

Taki jest tytuł widowiska baletowego jakie ostatnio wystawił słynny choreograf Maurice Béjart.



Scena z próby baletu Béjarta „Cocteau i Taniec”. Na zdjęciu: Jean Marais, Maurice Béjart i Jorge Donn.

Balet występujący w Królewskim Cyrku w Brukseli poświęcony jest uczczeniu pamięci Jeana Cocteau.

Kim był Cocteau? Nazwano go księciem poetów, gdyż sądził, że to Poezja powinna rozdzielić wszystkich dziedzinami sztuki. Uprawiał wiele gatunków literackich. Prócz wierszy pisywał, jak to określał, poezję powieściową, poezję krytyczną, poezję teatralną, poezję graficzną i poezję filmową. Rysował, malował, był filmowcem. W imię poezji wyrokował i lansował suknie, bary, balety, muzykę, literaturę. Uważany za surrealista, neoklasycystę, futurystę, pozostawał właściciel poza obrębem wszelkich grup artystycznych. Interesował się żywo baletem i przyjaźnił ze sławnym Diaghilewem, interesował się muzyką, a w gronie jego przyjaciół był tak znakomici kompozytorzy jak Strawieński, Satie, Honegger. Zajmował się filozofią i pozostawał kolejno pod wpływami neotomizmu, freudyzmu, egzystencjalizmu. Znał i przyjaźnił się z Apollinarem, niemalże wpływ wywarł na niego Picasso. Jean Cocteau nie stworzył

żadnego kierunku artystycznego, ale z wrażliwością artysty wchłaniał nowe kierunki i prądy. Nazwano go dobozsem, który jednak kroczy nie

z pochodzenia Belgiem. Znal Cendrarsa od 1913 roku i przez długie lata był jego przyjacielem. Jak sam twierdzi chciał napisać historię życia Cendrarsa w całej prawdzie, uwolnioną od nimbu legendy. Tak wybitna indywidualność jak Cendrars, twierdzi A. t'Serstevens nie potrzebuje legendy.

Frédéric Louis Sausser podpisujący swe utwory pseudonimem Blaise Cendrars. Szwajcar z pochodzenia, wybitny francuski poeta i prozaik bardzo lubił swoje pełne przygód i podróży życie przedstawiać w różnych, czasem nawet sprzecznych ze sobą wersjach. Jednym z jego wybitnych poematów jest „La Prose du Transsibérien et de la Petite Jehanne de France” (Proza transsyberyjskiej kolei i małej Żanny z Francji).

W poemacie tym Cendrars zawarł, jak to powszechnie się sądzi, swa wspomnienia z odbytych w latach wojny rosyjsko-japońskiej podróży pociągami na linię Moskwa-Charbin.

I oto A. t'Serstevens twierdzi, że posiada sześć wersji tego poematu, wszystkie doskonale napisane i różniące się od siebie, ale że Cendrars, zwany nawet przez Dos Passosa „Homerem transsyberyjskiego ekspresu”, nigdy pociągami na linii Moskwa-Charbin nie jechał i że w ogóle nigdzie nie wyjeżdżał w tym czasie z Petersburga.

t'Serstevens twierdzi dalej, że z reguły najbardziej ciekawą i niezwykle przygodną, którą opisuje Cendrars są po prostu zmyślone. Nie umniejsza to oczywiście zasług literackich Cendrarsa. Jako poeta miał on prawo do korzystania ze swej wyobraźni.

ODBRĄZOWIONY CENDRARS?

Ukazała się w Paryżu biografia Cendrarsa pt. „L'Homme que fut Blaise Cendrars” (Człowiek, który był Blaise Cendrars) (Człowiek, który był Blaise Cendrars) pióra powieściopisarza, eseisty i erudyty A. t'Serstevensa. Autor biografii

francuska dostrzegła Paula Delvaux, artystę, który nie dbał o sławę. Sława jest jak kobieta — zauważa filozoficznie „Paris-Match” — jeśli starasz się ją znaleźć — ucieka, gdy nie zabiegasz o nią — zjawia się. Teraz gdy artysta ma już siedemdziesiąt pięć lat cleszy się pełnym rozgłosem. Jak przedtem jednak, pogrążony w swych marzeniach, w swych wizjach, maluje nadal nagie i chłodne kobiety na tle opustoszałych dworców, greckich świątyń, triumfalnych łuków, kobiety zagubione wśród płaskich pól, wśród antycznych ruin, pośród pejzaży oświetlonych równocześnie przez słońce i księżyc.

Był może Paul Delvaux wspomina moment gdy w roku 1920 jako student architektury w Zeebrugge dla rozrywki postanowił namalować akwarelę port. Podczas tej pracy, której wówczas nie traktował poważnie, usłyszał głos pewnego przechodnia: „Dokonał, młody człowieku! Szukaj nadal!”. Tym przechodniem był stary flamandzki malarz Franz Courturens. Szukać nadal? Ale czego szukać? Tego jeszcze nie wiedział młody Paul Delvaux. Oświecenie nastąpiło w kilkanaście lat później, gdy pohnięty ciekawością wszedł do baraku osobliwości na ludowym festywalu w Brukseli. Znalazł świąt którego szukał — świat dziwności. Ale Delvaux nie pośpieszył do Paryża, by szukać kontaktów z nadrealistami. To oni przysyłały mu do Brukseli jednego ze swej grupy,

Paul Delvaux, artystę, który nie dbał o sławę. Sława jest jak kobieta — zauważa filozoficznie „Paris-Match” — jeśli starasz się ją znaleźć — ucieka, gdy nie zabiegasz o nią — zjawia się. Teraz gdy artysta ma już siedemdziesiąt pięć lat cleszy się pełnym rozgłosem. Jak przedtem jednak, pogrążony w swych marzeniach, w swych wizjach, maluje nadal nagie i chłodne kobiety na tle opustoszałych dworców, greckich świątyń, triumfalnych łuków, kobiety zagubione wśród płaskich pól, wśród antycznych ruin, pośród pejzaży oświetlonych równocześnie przez słońce i księżyc.

PAUL DELVAUX

Już przed czterdziestu laty zwrócił na niego uwagę André Breton. Ale dopiero teraz publiczność



Paul Delvaux: „Kobieta strzegąca tajemnic”, grafika, (1971)

Paula Eluarda, poetę, który przywoził mu pozdrowienia od surrealistów. Paul Delvaux nie chce opuścić Belgii, gdzie urodził się w roku 1897 jako syn brukselskiego adwokata. Do dziś malarz żyje w małym, białym domku pod Brukselą w lesistej okolicy i tylko raz do roku wyjeżdża na Baleary.

Od lat maluje ten sam dziwny, surrealistyczny świat: postacie nagich kobiet o ogromnych, jakby zdziwionych oczach. Te postacie takie same choć nie te same, powtarzające się wielokrotnie, wydają się zastępywać w ruchu, o słodkich twarzach Alicji z krajów czarów, idą dokądś jakby prowadzono je fa- tum wśród dziwnych krajobrazów, mijając się nie dostrzegając się przeważnie nawzajem, nie krzyżując swych spojrzeń, dumnie swoją nagością i pięknem zmierzają wolno ku swemu tajemniczemu przeznaczeniu. Nierealne lecz odmalowane realistycznie błądzą wśród ruin lub czekają na opustoszałych dworcach. Inaczej mężczyźni. Zawsze są mniejsi, dziwni, w czarnych marynarkach, czasem w melonikach na głowie, wyglądają nieciekawie i plas-



Paul Delvaux: „Świt” (1937)

NAJSTARSZA DRUKOWANA KSIĄŻKA ŚWIATA

Pierwszą drukowaną książką jest „Biblia” tłoczona u Gutenberga w

ko. Od czasu do czasu na płótnach Paula Delvaux pojawiają się szkielety. Nie są one symbolem śmierci. Żyją, przynajmniej malarz przedstawia je w pozach żyjących ludzi. Delvaux mówi: „Malując je nie chcę przedstawić śmierci lecz przeciwnie, chcę im dać życie”. Gdy pytano Delvaux co oznaczają jego obrazy, co chce nimi wyrazić, odpowiedział: „Gdybym potrafił wytłumaczyć moje dzieło, to nie musiałbym malować”.

Długo pracuje nad każdym z obrazów. Nie zmienia się w tym od czasów swej młodości, tak jak nie zmienił swych artystycznych upodobań, jak nie zmienił codziennego trybu życia. Lubi spacerować do lasu, kocha muzykę. Nigdy nie zgadza się na to, by przyspieszyć pracę nad obrazem. Wiedzą o tym wielbiciele jego sztuki i czekają cierpliwie. A nie-raz muszą czekać długo. Artysta tworzy bowiem trzy, cztery obrazy rocznie. Jego płótno wystawione od 14 kwietnia w Grand Palais ścigają cały Paryż — jak to zaznacza już w samym tytule artykułu o Paulu Delvaux tygodnik „Paris-Match”.

roku 1454. Książka ta z okazji Międzynarodowego Roku Książki została z nakazu papieża Pawła VI wydobyta z biblioteki watykańskiej i wystawiona do oglądania.

podjętym. Drugie, pomnikowe dzieło — rezultat ośmiu lat pracy — „Pan Tadeusz. Studia o poemacie i studium o tekście”. A więc modernizm i romantyzm, dwa rozdziały w polskiej kulturze. Pośrodku te szkice, te wędrowki po tematach, te gawędy z przeszłości i literatury, z malarstwa i te-razniejszości. Jeden z najwybitniejszych współczesnych humanistów przedstawił czytelnikom rozmowę, gawędę — nie akademicki, suchy wykład, ale piękną opowieść na różne tematy, opowieść rozpiętą na 44 eseje, na 1300 stron. Wojciech Zukrowski, pisząc o trylogii prof. Wyki, stwierdził: „Czyta się te eseje, jakby się prowadziło bardzo interesującą rozmowę, nie tylko obcując z człowiekiem wielkiej wiedzy i kultury, ale o dużym poczuciu humoru, sceptyku przekornym, sygnującym błyskotliwymi sformułowaniami, pełnymi ironii (...). I to jest wielka zaleta tych prac nareszcie zebranych w tomy, że zanika między czytelnikiem i autorem ów dystans, nic tu z pouczania ex cathedra...”. Są to po prostu spisane pasjonujące wędrowki po drogach kultury.

JERZY WIDOK



WĘDRÓWKI PROFESORA WYKI

NA RÓŻNE TEMATY — PORTRETY PISARZY —
MALARSTWO PASJĄ PROFESORA — MODERNIZM
I ROMANTYZM — CZTERDZIEŚCI CZTERY ESEJE —
WĘDRÓWKI PO DROGACH KULTURY

Trzy opasłe tomy prac prof. Kazimierza Wyki kwitowane są, jak dotąd, w rubrykach felietonowych. Bo też inaczej o nich pisać nie sposób. Trzeba by bowiem erudycji i wiedzy autora, trzeba by miejsca na wielkie eseje, aby móc podjąć próbę oceny trzech książek, zawierających czterdzieści cztery szkice na tematy... Właśnie.

Na wszystkie tematy. „Wędrując po tematach” nazywa się ta trylogia uczonego i w istocie jest to podróz po sprawach bardzo różnorodnych, bardzo nieraz od siebie od-

ległych. Obok rozprawki o krytyce literackiej Marii Dąbrowskiej jest szkice o znanym fałszerzu obrazów van Meergerenie. Obok impresji na temat początków kinematografii, szkice o Goebbelsie, Hitlerze i Katonie... I tak przez ponad 1300 stron trylogii, której poszczególne tomy noszą nazwy: „Czas”, „Puścizna”, „Muzy”, „Patrząc z odległości czasu — pisze prof. Wyka — dostrzegam, że trójką — nazywa moje życie i pracy naukowej był i niechaj pozostanie, niechaj go nie naruszają i nie potargają zwichry historii, ten oto

trójką: miasteczko rodzinne, Kraków, Warszawa. Na komentarzu w tym miasteczku leży pochowany dyktator powstania listopadowego, generał Józef Chłopiński. Niedaleko grób moich rodziców. Szum Nocy Listopadowej słychać w drzewach owego cmentarza. Powiat, w którym się urodziłem, Chrzanów, jako powiat leżący w dawnym zaborze austriackim — przylegał ongiś do trójkąta trzech cesarzy. U splotu dwu rzek Białej i Czarniej Przemasy (...)

schodziły się w latach rozbiorów granice Rosji, Prus i Austrii...”

W rodzinnych Krzeszowicach był pałac Potoczkich. Rodzinne Krzeszowice nazywały się także Kressendorf, a pałac był rezydencją lenia Hansa Franka... Kazimierz Wyka obserwując i analizując hitlerysty na przykładzie mikrokosmosu małego miasteczka, czyni to z równą pasją i dociekliwością, co w swych wnikliwych portretach pisarzy — Witkacego, Czyżewskiego, Macha, Pruszyńskiego...

Pisząc o literaturze odnajduje ścieżki i wykroty niedostrzeżone przez innych, ale pisząc też o sztuce, o malarstwie, szuka powiązań z obyczajowością epoki, filozofią, hi-

storią i... dokonuje odkryć na tym pozornie obcym sobie terenie. Pozornie obcym, bowiem w istocie eseje z zakresu historii sztuki są niezwykle ciekawym i wartościowym fragmentem trylogii. Jako przykłady przywołać można szkice o Makowskim, Münchu, Dunikowskim, żarliwą obronę genialnego imitatora van Meergerena, rzecz o kurytnie Slemicadzkiego... Malarstwo jest pasją prof. Wyki i nie ma w niej nic z zachwyty profana, wiedza i wrażliwość na sztukę nie jest marginesem zainteresowań uczonego. To po prostu odczuwał się wnikliwy i mądry historyk sztuki, który zajęty innymi pracami miał zbyt mało czasu, aby malarstwu poświęcić całe swoje pisarstwo.

Bo przecież prof. Kazimierz Wyka — autor wielki dzieł z zakresu literatury polskiej XIX i XX wieku — pozostał jednak historykiem literatury. Wymienimy za profesorem — dwie główne jego książki. „Modernizm polski” — rozprawa doktorska, która nie uniknęła jakże typowo polskich losów. Napisana przed wojną, drukowana we wrześniu 1939... Potem dwadzieścia lat czekania na druk po wojnie, kiedy modernizm był pojęciem

Bez strachu

WIOSENNY SPACER

Korzystając z pięknej pogody udałem się na spacer parku. Spotkałem tam Bartłomieja i Gerwazego, którzy gaworzyli wesoło. Przywitali mnie serdecznie. Nasza rozmowa była optymistyczna, świat wydawał się piękny i dobry, wszystkie ludzkie czyny zające i dobrotliwe. Mówiliśmy o rozmaitych swoich przygodach i oto niepostrzeżenie każdy z nas wyznał jakąś popelnioną zbrodnię. Przerzywailiśmy te wyznania śmiechem. Nagle zapadło przykre milczenie. Myśliszmy intensywnie, kojarzyliśmy zasłyszane uprzednio wieści, komunikaty prasowe i plotki z niedawnymi wyznaniem. Spojrzeliśmy na siebie ze zgrozą. Nasze wyznania były prawdziwe, staliśmy oto w wiosennym słońcu w atmosferze potwornej fascynacji i lęku, trzech zbrodniarzy. Przemówił pierwszy: „Droży Przyjaciele! Po tym, co się rzekło, jest zupełnie jasne, że wszyscy żyć nie możemy. Dwaj z nas muszą zginąć po to, by jeden zżywał w spokoju dobrodziejstw życia. Proponuję, jak sądzę, zasądzić i rozstrzelić, abym to ja pozostał przy życiu, a wy, moi kochani i drodzy, powinniście opuścić ten świat. Usilnie was namawiam do przyjęcia tej rozsądnej koncepcji! Drogi Bartłomieju, czy wolisz skończyć samobójstwem, czy też pragniesz, abym się ublił dyskretnie i bezboleśnie? Kochany Gerwazy, czy pragniesz zginąć z mojej ręki, czy też sam z radością się poświęcisz?” Ku mojemu zdumieniu nie chcieli iść za głosem rozsądku, Bartłomiej nieroztropnie pragnął żyć i zalecał śmierć Gerwazemu i mnie. Co do Gerwazego, to ten był również bezmyślny, oświadczył po prostu, że to on będzie żył, a Bartłomiej i ja zemrzemy. Doremnie odwoływałem się do rozsądku (moje życie jest ważniejsze niż ich, wnoszę więcej wartości moralnych w życie społeczne), do uczuć przyjaźni (to piękne — oddać życie za przyjaciela...), Byli naprawdę nieprzejednani, w głębi duszy zaczęli już powątpiewać, czy ich poziom etyczny jest tak wysoki, jak niegdyś mniemałem. Staliśmy w opustoszałej alejce. Bartłomiej wyciągnął nóż sprężynowy, Gerwazy zgrabnie podrzucił duży kamień, co do mnie — pomachałem ostrze ciupagi, z którą szczęśliwie wybrałem się na spacer. Sięgnąłem wreszcie po argumenty religijne, toż ubijając ich, torując im drogę do nieba, a sobie gotując piekło, niech pomyślą o życiu wiecznym i niech wiedzą, że nie wolno gardzić tak wielkim poświęceniem, jak moje. Ich jednak opętali szatan i uciekli ode mnie. Ostrożnie rozglądając się i ścisnąc w rękę ciupagę pośpieszyłem do domu. Drzwi zamknąłem na łańcuch. Pocięłam w mej samotności znalazłem w oglądaniu próbki z kryształkami o migdałowym pachu. Stwierdziłem także, u siebie osobiście rozdwojenie. Oto zżył w spokoju i bezpieczeństwa w swoim mieszkaniu, a przecież wydał mi się, że ciągle stoję w małej alejce z ciupagą w rękę wobec Bartłomieja, zbrojnego sprężynowym nożem i Gerwazego, podrzucającego kamień.

BERNARD SZTAJNERT

Porywacze

Kawiarnia „Inn Time” była przepelniona po brzegi. W kącie sali siedzieli przy stoliku dwaj młodzieńcy popijając piwo. Po kryjomu obserwowali starszego pana, elegancko ubranego, który siedział w pobliżu.

W pewnej chwili nieznanym otworzył dobrze wypchany portfel, aby zapłacić rachunek. Potem wstał i skierował się do wyjścia.

— Pospiesz się, Mike — rzekł niższy z młodzieńców. — Idziemy, trzeba zarobić na chleb i kielbasę.

Na ulicy szli tuż za nieznanym. — Skoczmy na niego w tej wąskiej uliczce — zaproponował Mike.

Przyspieszyli kroku, lecz mężczyzna dał susa i zniknął za pierwszym zakrętem.

— Prędzej, Mike! — krzyknął kolega wyciągając z kieszeni gumową pałkę. Skręcili w uliczkę, gdy nagle zatrzymali się: w świetle księżyca stał uśmiechnięty nieznanym trzymającym w ręku pistolet skierowany w ich stronę.

— Chłopcy, brzydko się zachowujecie! — upomniał ich surowo. — Czy nie wiecie, iż sędziowie niechętnie patrzą na takie żarty? I po co to robicie? Dla kilku dolarów?

Złodziejzaski przystanęli ujarzmieli widokiem broni.

— Przepraszamy pana, musimy wyjechać z miasta i zabrakło na kolej. Nie chcieliśmy zrobić panu krzywdy... — usprawiedliwiał się Jack. — Mój przyjaciel Mike ma kłopoty z alimentami dla żony.

Nieznanym opuścił pistolet... Rozumiem was. Także i moje życie nie jest usłane różami. Ile wam potrzeba?

— Sto dolarów wystarczy — wtrącił Mike.

— Hm... Tylko sto... Wiecie co, noszę się od dłuższego czasu z pewnym planem i potrzebuję pomocy dwóch takich zachów jak wy.

— Jeżeli pan gotów jest zapomnieć te dziesięć spraw, to zrobimy wszystko dla pana.

— Dobrze, pomówimy. Wróćmy do kawiarni, chcę wam pomóc.

Kilka minut później przy stoliku trzej mężczyźni przedstawili się sobie: — Nazywam się Jack Hughs, a to mój przyjaciel Mike Pado.

Starszy pan lekko skinął

głową. — A ja się nazywam Humphrey Nortwick, z firmy „Nortwick, Holmes i Carrol”. Zazdroszczę wam, chłopcy! Możecie tu przychodzić co wieczór potać się bez strachu, że zobaczy was jakiś wścibski dziennikarz albo znajoma plotkarka. Ja tu przychodzę bardzo rzadko.

Jack uśmiechnął się słabo. — Ale do tego potrzebne są pieniądze, a my przymieramy głodem.

— Rozumiem, rozumiem. A co byście powiedzieli, chłopcy, gdybym wam umożliwił zarobek po pięć tysięcy dolarów na jednego?

— Dziesięć tysięcy! — krzyknął Jack wybaluszając oczy. — Pan wybacz, ale to może jakaś sprawa... — O nie, możecie być spokojni! To jest sprawa legalna, chodzi o porwanie. Osoba porwaną mam być ja.

— Pan? A dlaczego?

— Tak, ja! Ponieważ jestem znużony zebraniemi, przyjęciami, brydżem, towarzystwem ludzi, którzy zamiast mózgu mają wodę w głowie. No i moja żona... Postanowiłem zniknąć ze środowiska tych wszystkich osób, wyjechać do Meksyku, lub Panamy i tam żyć spokojnie. Lecz potrzebne mi są pieniądze, a tymczasem mój majątek jest ulokowany w firmie, której jestem członkiem. Mogłbym sprzedać moje akcje, lecz narobiłoby się zbyt wiele szumu. A jeżeli zostanie porwany, moja żona będzie zmuszona sprzedać akcje, żeby zapłacić okup. Załadam za siebie sto tysięcy dolarów.

Porwanie tak będzie wyglądało: Zawsze w piątek wieczorem chodzę z przyjaciółmi do Klubu. Wychodzę stamtąd o północy. Idziemy do postojni taksówek na Porter Avenue, każemy się zawieźć do domu. Porter Avenue jest zawsze pustą o tej porze. W pewnym punkcie, między klubem a postojni, wy obaj wyskoczą z samochodu, którym jechaliście za nami. Uderzycie w głowę mego przyjaciela, aby go oszołomić a potem wskoczmy wszyscy trzej do samochodu i uciekniemy. Widzicie jakie to proste.

— Czy nie mógłby pan zniknąć bez naszej pomocy?

— Nie. Po pierwsze — wyjaśniał cierpliwie pan

Nortwick — ponieważ to jest fałszywe porwanie, należy je tak urządzić, żeby było przekonujące. Po drugie: potrzebne mi jest auto, które nie będzie moim autem, gdyż nie mogę być porwany własnym wozem. Dlatego dam wam 700 dolarów i kupicie jakiś samochód. Jeżeli moja propozycja interesuje was, przyjdźcie jutro o 10 do mego biura w Grayson Building.

Jack i Mike milczeli nie wiedząc co odpowiedzieć.

— Rozumiem, że trudno wam się zdecydować. Pójdę przez się trochę, a wy porozmawiajcie sobie spokojnie.

Pan Nortwick wstał i uśmiechając się grzecznie wyszedł na ulicę...

— Co myślisz o tym wszystkim? — zapytał Mike.

— Ja już postanowiłem; pójdziemy rano do jego biura i wyciśniemy co się da.

Po kilku minutach starszy pan wrócił do stolika.

— Widzę, że się już zdecydowaliście? A więc do brzo, chłopcy.

Następnego dnia rano młodzieńcy udali się do Grayson Building. Starszy pan przywitał się z nimi serdecznie.

— Pomyślałem, iż lepiej będzie, żebyśmy spotkali się tu na dole, aniżeli w moim biurze.

Z kieszeni marynarki wyjął kopertę i podał Jackowi.

— To są pieniądze na samochód. Jutro wieczorem spotkamy się w kawiarni, zabiorę od was auto i umieszczę je w prywatnym garażu. Nie możecie nim jeździć po mieście.

W czasie rozmowy Nortwick kłaniał się od czasu do czasu osobom, które wchodziły do windy.

— Dodaj szepem: — Jutro otrzymacie zadatek, po tyśiąc dolarów. A więc do jutra. — To powiedziawszy, skierował się do windy.

Następnego wieczora przybyli do kawiarni. Nortwick siedział już przy stoliku. Zamówił trunki na trzy osoby.

— A więc, chłopcy, co kupiliście?

— Chevroleta.

— Dobrze. Dajcie mi jeden kluczyk. A teraz proszę słuchać. Wszystkie ustalone na przyszły piątek o północy. Zaparkujcie Chevroleta na Porter Avenue. Wsiadźcie do samochodu o godzinie 23.45. Na wszelki wypadek czekajcie w kawiarni przed tą godziną, może będę musiał do was zatelefonować.

Piątkowy wieczór był zimny i dżdżysty. Chłopcy siedzieli w kawiarni już od godziny, gdy zadzwonił telefon. Jack wpadł szybko do kabiny. Mówił Nortwick.

— Jack, zaszło coś czego nie przewidywałem. Przez kilka dni po uderzeniu mu-

simy ukrywać się, a więc potrzebne są nam zapasy żywności i koce w naszym schronieniu. Mam je w domu, przyjeździe do mnie i zabierzcie wszystko.

— Czy to nie ryzyko pokazywać się tam u pana? — zapytał Jack.

— Nie, nie, już jest ciemno, nikt nie zwróci na was uwagi.

Po kilkunastu minutach Jack i Mike jechali bulwarem Lamarck. Podziwiali piękne pałace.

— Patrz, Jack!... Nie rozumie, dlaczego człowiek posiadający takie luksusowe mieszkanie może je rzucać i uciekać gdzieś w nieznaną?

— Wszyscy ci, co mają pieniądze, są trochę zbliżeni — wyjaśnił filozoficznie Jack. — Dostaniemy nasze dziesięć tysięcy dolarów a reszta nas nie obchodzi.

Wjechali w parkową uliczkę i zatrzymali się przed domem należącym do Nortwicka. Następnie wprowadzili samochód do garażu według telefonicznego polecenia.

Nagle pokazał się pan domu. Spieszył się i był zdenerwowany.

— Chłopcy, wejdźcie do garażu, zabierzcie puszki i ustawcie na tylnym siedzeniu samochodu.

Wykonując rozkaz zauważyli, że Nortwick wyniósł z krzaków wielki pakunek i wsunął go do bagażnika. Po kilku minutach byli gotowi do odjazdu.

— Uciekajcie teraz, niedługo nadejdzie mój przyjaciel. Spotkamy się o 23.45 tam, gdzie mówilem.

Na parkingu zobaczyli wreszcie dwóch mężczyzn, obaj się zataczali. Gdy przechodzili obok Chevroleta, Mike wyskoczył i uderzył jednego z nich. Mężczyzna upadł na ziemię, a jego towarzyszy wpadł z zawo do auta wraz z Mickiem.

Jechali z wielką szybkością, kierunek jazdy wskazywał Nortwick. Po godzinie przybyli do wiejskiego domu, który stał na skraju gęstego lasu.

Umieścili auto za domem. Zabrali puszki i wnieśli je do wnętrza mieszkania.

— A więc, chłopcy, pobędziemy tu kilka dni. Zakryjcie okna czarnym sukniem, zapalimy światło.

Jack i Mike wyciągnęli się na prycy. Nortwick opowiadał im szczegóły swego planu wejścia w posiadanie okupu i stwierdził, że jeśli wszystko dalej będzie szło pomyślnie, to za trzy dni stąd wyjadą.

Następnego dnia wieczorem, gdy jedli kolację, okazało się, że zabrakło wody do picia.

— Trzeba zrobić większy zapas wody — rzekł Nortwick. — Jest tu niedaleko w lesie źródło, wezmę zbior-



nik, napelnię go i za pół godziny wrócę.

Dwie... Trzy godziny upłynęły. Chłopcy zaczęli się niepokoić.

— Co mu się mogło stać? — mruzczał Jack. — Powinien już być z powrotem.

— A może nas oszukał? Zabierze sobie okup i ucieknie. Wiesz co, Jack, poczekamy jeszcze godzinę i odjedziemy.

Nagle Mike wydał okrzyk przerażenia. Przed domem pojawiły się oślepiające światła. Ktoś wołał do głośnika:

— Wychodźcie z podniesionymi rękami! Dom jest otoczony. Opór na nic się nie zda!

— Mike, nie traćmy głowy. Nie przeciełajcie nie zawińiliśmy — bełkotał Jack.

Wyszli na podwórze. Policjanci otoczyli ich i zrewidowali.

— Gdzie jest Humphrey Nortwick? — zapytał oficer.

— Nie wiemy.

— Przeszukajcie dom i okolice! — rozkazał porucznik swym ludziom.

Jack ledwo skończył opowiadanie o spisku Nortwicka, gdy jeden z policjantów odwołał na stronę oficera i coś mu powiedział wskazując tyły domu.

— Chodźcie z nami! — rozkazał porucznik.

Podeszli do miejsca, gdzie stał Chevrolet.

— Otwórzcie bagażnik, tu jest klucz — rzekł policjant. Jack otworzył i krzyknął przeraźliwie:

— O nieba!... Trup! — Spojrzał na policjanta. — Kto to jest i skąd się tu wziął?

— Przestańcie grać komedię. To wy dwaj go zabilście. Wiecie dobrze, że to jest Humphrey Nortwick.

— Panowie, mylicie się — jęczał Jack. — Ten tutaj jest lisy, a pan Nortwick miał gęste, czarne włosy.

Policjant wyjął fotografię. — O! — pan Nortwick, znalazłem go osobliście.

Na zdjęciu był człowiek złożony w bagażniku.

— A teraz mówcie, gdzie są pieniądze z okupu? Zabraliście je trzy godziny temu, były złożone przy źródle, tam w lesie.

— Przy źródle! Słyszysz, Mike?... — krzyczał Jack.

— Ten oszust prowadził podwójną grę... Niech ja go dostanę w swoje ręce... Zamorduję go!

— Już teraz nikogo nie zamordujesz — rzekł policjant, zakładając kajdanki.

OPRAC. A. S.



Lewym okiem

PYSZNY, DZIURAWY PŁASZCZ

Pycha uznana została za jeden z siedmiu grzechów głównych. W pewnym felietonie Boy Zelenki wziął siedem grzechów głównych pod lupę i doszedł do zaskakującego wniosku, że czasy nowożytne zwyrodnily owe grzechy, doprowadzily do ich atrofi, zaniku. Nie ma przecież od dawna wielkich obżaruchów i grubasów, nie ma owej monstrualnej pychy, która kazala wznosić całe piramidy dla ukrycia w nich zwłok jednego zwyczajnego, ale pysznego człowieka, sprzedawać na wagę złota piasek, po którym stąpała stopa żywego jeszcze i młodego Mahdiego, ustalać niebywale ceremoniał i protokoły dla zadośćuczynienia niepojętemu dziś w takiej skali samowielbieniu.

Może to i prawda. Nie można jednak żyć, nie wie-

rząc w swoją jakąś tam wartość i nie dążąc do jej zmanifestowania, choćby to była manifestacja jak najbardziej przekorna, perwersyjna.

Siedemdziesiąt lat temu Kazimierz Bartoszewicz, nieczęsto dziś wspomniany a niezmiernie zasłużony pisarz, działacz, kolekcjoner, znawca sztuki, wydał „Słownik prawdy i zdrowego rozsądku”, w którym pod hasłem „Duma” takie podawał przykłady odniesień tego pojęcia: „Diogenes depcząc zabloconymi nogami wspaniałe kobierce Platona mówił — depcz twą dumę, Platonie. A Platon na to: depczesz mą dumę innym dumy rodzajem. Kiedy cynik Antistenes chlubił się swym podartym płaszczem, Sokrates powiedział, że z dziur tego płaszcza wygląda próżność i pycha”.

Zalóżysz płaszcz bogaty — źle. Zalóżysz podarty — też źle. Jakże więc założyć na miano człowieka skromnego, zwłaszcza że nie można nie przyznać racji autorowi Słownika? Najlepiej chyba po prostu: nie za dużo myśleć o sobie, nie oceniać się ciągle oczami innych. Tej nieustannej autowiewiekcji nauczyła nas psychologizująca literatura, zdumiewająco wnikliwa, wlażająca nam w najgłębsze sekrety, nie zostawiająca miejsca na suwerenne, absolutnie subiektywne „Ja”. Ot, choćby taki fragment ze świetnej powieści Niemca, Martina Walsera, „Jednoróżec”, przełożonej również świetnie przez Krzysztofa Radziwiłła i Janinę Zelter:

„Skoro tylko ktoś drugi podejrze ten pierwszy uzależnia się od niego. A tamten z kolei od pierwszego.

Gdy ktoś trzeci podejrze, przerabia od razu na swoją modłę tamtych dwóch, a oni jego, i w ten sposób każdy oddziaływa na wszystkich, a wszyscy na niego. Każdy dąży wszystkimi wymuszonymi na nim okrutnymi drogami i zakrętami jedynie do osiągnięcia swego własnego celu: pragnie podporządkować sobie innych. Choćby przez to, że się sam podporządkowuje. Chce być tym najważniejszym. I aby tego dowiedzieć, zachowuje się w razie potrzeby, jak gdyby uważał siebie za najmniej ważną osobę. Każdy jest więc wśród innych na tyle sobą, na ile mu wszyscy inni pozwalają. Im mniej mu pozwalają, tym gwałtowniej o to zabiega. Najspokojniej zaś zachowuje się ten, komu większość pozwala być sobą. Jest on też pod każdym względem najpiękniejszy. Albo go się nienawidzi, ponieważ wchodzi w skład jego spokoju to, że wydaje się niezależnym, a więc niewdzięcznym przemilcza, iż żyje przecież dzięki naszej rezygnacji, albo go się kocha, ponieważ jest właśnie takim, jakim samemu chciałoby się być”.

Nic nie jest nam bardziej potrzebne, niż spokój. Pomówcie z lekarzami, zwłaszcza tymi od nerwów. Tylko spokój może nas uratować. Pozwólmę więc, żeby każdy był sobą, a wtedy on się uspokoi i nam pozwoli na ten sam luksus. I będzie w nim — w tym luksusie — miejsce jeszcze i na nasze przekonanie o jakiejś tam własnej wartości, bez którego nie można żyć jak człowiek.

CWIEK